

SKARPA

KWARTALNIK LITERACKI

REVISTA POLONÊSA «SKARPA»



ANO I. — OUTUBRO, NOVEMBRO e DEZEMBRO — 1964

N.º 1

HENRYK ZYLBERMAN

ENGENHARIA, COMÉRCIO E INDÚSTRIA S. A.
Rua 24 de Maio, 35 - 9.º and. Conjunto B.
SÃO PAULO

NOVO LANÇAMENTO CONDOMÍNIO BARITA

Escritórios e garagens
automáticas

Rua Barão de Itapetininga, 107 - 111
SÃO PAULO — CAPITAL

CORRETOR AUTORIZADO:

Afonso Marino Filho

CRESCI N.º 213

Rua 24 de Maio, 35, 9.º andar. Tel.: 35-2477

G. Witkowski

Revista Polonêsa "SKARPA"

ANO I. N.º 1 — Outubro, Novembro e Dezembro — 1964

DIRETOR RESPONSÁVEL: Sylvia da Fonseca.

Redator: Seweryn A. Hartman.

Editada: pela Revista Polonêsa "Skarpa".

Redação e Administração: Rua Xavier de Toledo, 266 cj 91.

Caixa Postal: 4530. - **Tel.:** 36-55-16. - São Paulo - Brasil.

Assinaturas: Cr\$ 2.000,00 anuais (4 números).

Para o exterior: US \$ 3.00.

Número avulso: Cr\$ 600,00.

Composto e impresso na "Gráfica Vicentina Ltda". —
Alameda Cabral, 846 — Curitiba - Paraná.

OD REDAKCJI:

Zgodnie z zapowiedzią, podaną w ostatnim numerze "Przeglądu Polskiego" z czerwca br., rozpoczynamy druk kwartalnika "Skarpa".

Dlaczego "SKARPA"? Pytanie to będą chcieli zapewne zadać czytelnicy i przyjaciele nowego pisma.

Znaczeniowo: "skarpa" to pochyła ściana wykopu lub nasypu ziemnego. Wysoki brzeg rzeki tworzy skarpe. Stąd Aleja na Skarpie na Powiślu w Warszawie i nazwa jednego z najbardziej walecznych ugrupowań Powstania Warszawskiego — "Skarpa". Chcemy, aby nazwa pisma podkreślała nasz związek uczuciowy z bohaterskim zrywem, jakim było Powstanie.

Jeżeli chodzi o treść to w założeniu swoim "Skarpa" ma być pismem literackim poświęconym prozie, poezji i krytyce literackiej. Zastrzegamy się z góry przed publicystyką. Nie mamy zamiaru robić konkurencji starej i zasłużonej prasie emigracyjnej. Poza pracami oryginalnymi ukazywać się będą w "Skarpie" przekłady z literatury brazylijskiej.

Pragnęlibyśmy, aby to niewielkie objętościowo pismo przyczyniło się do popularyzacji polskiej literatury emigracyjnej. Będziemy popierać debiuty. Wszyscy pisarze polscy na emigracji, zarówno znani, jak i początkujący, mają otwarte dla siebie łamy naszego kwartalnika.

Pismo nie będzie dawało dochodu, nie ma ono celów zarobkowych. Prowadzone przez ludzi dobrej woli oczekuje poparcia finansowego ze strony tej części naszej emigracji, dla której wyrazy: "kultura polska" nie stanowią pustego dźwięku. Dlatego ogłoszenia, choć z góry można założyć, że mało efektywne i ofiary na Fundusz Prasowy, są nie tylko mile widziane, jak się to zwykło mówić, ale i konieczne, aby pismo mogło istnieć i rozwijać się i nie stało się jedną z efemeryd tak, niestety, licznych na emigracji.

Oddając pierwszy numer "Skarpy" do rąk Czytelników wyrażamy życzenie, aby w listach do Redakcji wypowiedzieli się zarówno co do poziomu, jak i charakteru czasopisma. Postaramy się, w miarę sił i możliwości, uwzględnić w następnych numerach wszystkie krytyczne uwagi i wprowadzić żądane zmiany.

*Mira Sławińska
Henryk Przyborowski
Jan Krawczyk
Zbigniew Stachowiak
Seweryn A. Hartman*

ANNA I MARIA

Z domu babci do kościoła w Maria Au były trzy mile szerokiej drogi wyspanej białym, lśniącem żwirem; zaledwie trzy mile, ale sierpniowy skwar bez krzty cienia wydłużał je do trzydziestu. Mogła sobie babcia zaoszczędzić fatygi i przebyć trasę szybko i wygodnie sportową Lancią syna albo chociażby starą karetą pamiętającą jeszcze jej pierwszy ślub tak namiętnie komentowany w całej Wenecji Julijskiej. Ale nie. Uparła się, jak co roku, w dniu swoich imienin. Wypadało święto babcine piętnastego sierpnia, podczas moich wakacji szkolnych poza Polską, mogłam więc sekundować jej dzielnie w owym corocznym dość męczącym marszu do łaźni sumień w miejscowości, której trudno było by doszukać się na mapie. Maria Au była raczej skromną osadą nieśmiało przycupniętą wśród paru starych drzew - niedobitków po prawej stronie szosy wiodącej do Gorizii. Składało się na nią parnaście murowanych piętrowych domków bielonych przed każdym dorocznym odpustem, o drewnianych ganeczkach osłoniętych krzaczasto rozrośniętymi goździkami. Zwiślały one niemal do ziemi, jak gęsto marszczzone zielone firany, bogato haftowane w wielokolorowe kwiaty o postrzępionych płatkach. Aromat z nich był tak mocny, że przyprawiał o zawroty głowy, pomimo to nie mógł podolać ostrej gryzącej woń nawozu krowiego i króliczego, idącego z podwórzy za domami.

Na szczęście kościół słynący z drobnych cudów, stał sam i majestatyczny w swej prostocie po drugiej stronie szosy skośnie naprzeciw sadyby, w sporej odległości od jezdni tak, że świąteczny zapach kadzidła mógł niepodzielnie odurzać rozmordłone rzesze, przenosząc je w duchu do niebiańskich sieni łaskawej Maryi Panny, patronki ich niełatwych, bo kamienistych ugorów.

Jak rok długi babcia nie przestąpiła progu jakiegokolwiek kościoła. Różnie to tłumaczono. Miejscowe dewotki z nietajoną zgrozą podejrzewały ją o wolnomyślność, inni z jej bliższego otoczenia gotowi byli przysiąc, że obraziła się na świętego Antoniego, w którego tak gorąco wierzyła, a który ją zawiódł, bo

nie przywrócił zawieruszonego gdzieś w Ameryce męża - obieżywiata. Natomiast w dniu jej imienia, mogło się palić i walić, zrywała się o świcie, biegła na raty, pędem wracała, jadła pośpiesznie śniadanie by zdążyć na drugą mszę w Maria Au.

A więc szło się piechotą. Po drodze spotykało się prawie same kobiety. Mężczyźni, jak zwykle umiejący w każdej sytuacji uzurpować sobie korzyści i wygody, wyjeżdżali pierwsi bryczkami, furmankami czy na rowerach by rzekomo pomóc księżom w organizowaniu "festy", a więc przy rozstawianiu stołów i ław, wznoszeniu estrady na występy i potańcówki dla młodzieży, przy rozbijaniu cyrku według przepisów burmistrza pobliskiego miasteczka, któremu podlegało miejsce odpustów.

Kobiety szły gromadkami, po cztery, pięć. Czasem któraś odłączała się od swej grupki by przystać do innej, obiecującej świeższe nowinki. Ale na ogół mówiły niewiele, poważne, jak i ich długie czarne suknie z kretonu szyte w domu na jedną modłę, co przynajmniej z pozoru równało je i upodabniało do siebie.

Babcia wyróżniała się z daleka. Wprawdzie i jej suknia była czarna, ale dość krótka, jedwabna, w białe gęste kółka lub kropki, tak, że mieniać się w słońcu sprawiała wrażenie srebrzystej a więc mniej żałobnej. Na głowie w odróżnieniu od reszty kobiet używających chusty z frendzlami albo koronkowej mantylki, nosiła elegancki kapelusz z czarnej słomki, przybrany na przodzie wielką kokardą z tafty tegoż koloru, albo akksamitką przewleczoną przez metalową klamrę. Podobne, tylko o wiele mniejsze klamerki zdobiły czótenka na obcasach — słupeczkach, jak wymagała moda, trzy mile piechoty i — w tej chwili obliczam — aż... czterdzieści kilka lat mojej babci.

Jej zgrabne, jedwabne "parapliu", tak kontrastujące z familiijnymi parasolami chłopek, zupełnie niepotrzebnie rozszerzało swą protekcję nad mą głową po oczy utopioną w wielkim "fiorentino" z naturalnej, miękkiej słomki, ożywionym z każdej strony kiścią pobrzękujących czereśni z czerwonej masy.

Babcia, z natury wesoła i tryskająca życiem, szła jakaś wyniosła, ale w rzeczywistości postawa jej tuszowała jakiś smutek, może przykre wspomnienie czy nagle odżyły wyrzut sumienia. Mówiła mało, zdawkowo, za to często wzdychała a czasem zdawało mi się, że ukradkiem zręcznie hamowała palcem mającą się stoczyć łzę. Przytulałam się wtedy do jej ramienia szczęśliwa, że tym gestem mogłam w swój dziecinny sposób pocieszyć ją w chwilowej słabości.

Niestety, przechadzka u boku kochanej Nony, jak ją zwała, z wenecka, traciła na uroku, gdy przyłączała się do nas kulawa Anna. Była ona prostą, przedwcześnie postarzałą kobietą w czarnej, tiulowej mantylce na zupełnie białych ale pięknie falujących się włosach, a jeszcze za to młodych, żywych bardzo niebieskich oczach w gęstej, ciemnej oprawie. Pomimo to wydawała mi się stara i brzydka, szczególnie gdy w szerokim uśmiechu ukazywała brak dwóch zębów na przodzie i mięsisty płät dolnej wargi prawdopodobnie zniekształconej w jakimś wypadku.

Jak by nie dość było tego zeszpecenia utykała jeszcze na jedną nogę i to tak nieszczęśliwie, że za każdym krokiem przechylała się całym tułowiem na bok, jakby za chwilę miała się przewrócić.

Pomimo to nie czułam najmniejszej sympatii, ni żdźbła li-
tości dla tej zadziwczajej, niesamowitej kumy, której obecność
w jakimkolwiek środowisku musiała budzić niesmak i uchodzić
za irytujący zgrzyt. Poza nieestetyczną prezencją cechowało ją
gadulstwo i zupełny brak taktu. Nie pytana mieszała się do
rozmowy trzecich by narzucać własną opinię zawsze w opozycji
do ostatnich. Zachowanie jej kładziono na karb nieszczęśliwego
życia, kalectwa i samotności. Ale w owym czasie byłam zbyt
dziecinna, by móc rozumieć co mówiono półgłosem o jej prze-
szłości i zbyt niecierpliwa by spokojnie znosić jej hałaśliwą
obecność.

Mało kto ją znał z nazwiska. Włosi mówili o niej w dialek-
cie prowincji: Ana la Zopa, Słoweńcy — Szopenowa Aneczka czy-
li kulawa Anna. W jednym i drugim wypadku wyczuwało się
pewne lekceważenie, a nawet pogardę. Tym więcej dziwił mnie
ów, jeżeli nie przyjazny, to grzeczny stosunek mojej babci do
niej, zadziwiająca cierpliwość w wysłuchiowaniu Aninej gadani-
ny. Moja niechęć do tej kobiety pogłębiła się jeszcze bardziej
gdy spostrzegłam, że zwracając się do mojej babci, nie używała,
jak pozostali zwrotu "signora" czy "gospa" albo chociażby Mary
czy Maria, jak zwało ją rodzeństwo i przyjaciele, ale — Micka.
W ten sposób mówiło się do małych słoweńskich, chłopek, któ-
rym było Maria. Ale żeby do mojej babci! Nie, tego było sta-
nowczo za wiele!

— Jak możesz pozwolić na to, Nona? — obruszyłam się kie-
dyś zgorzsona.

— Chodziłyśmy razem do szkoły — odpowiedziała najproś-
ciej w świecie. — Za cesarza Franciszka Józefa szkoła pow-
szeczna surowo obowiązywała wszystkie dzieci bez względu na
stopień zamożności, tytuł czy zawód rodziców. Poza tym Anecz-
ka była nie tylko moją koleżanką i rówieśnicą, ale i córką na-
szego stangreta, Erazma, który za kariery wojskowej ojca, był
jego długoletnim ordynansem.

Tu zamyśliła się przez chwilę, zanim powróciła do opowia-
dania.

— Chodziłyśmy razem do szkoły, razem zmykałyśmy na
wagary, dokazywałyśmy razem i razem... — tu znów przerwała
i głęboko westchnęła, ale inaczej, niż zwykle.

Co się za owym tajemniczym westchnieniem kryło dowie-
działam się dopiero gdy byłam już panną w pretensjach, za-
czytującą się w romansach Gabriela d'Annunzio, które dziś
śmieszą i bawią, bo już i irytować nie są w stanie, ale jeszcze
moje pokolenie czytało je za młodu, z wypiekami na twarzy,
podobnie, jak ongiś rówieśnicy mojego ojca w Polsce w tajem-
nicy przed starszymi zachłystywali się neurotyczną przybyszew-
szczyzną.

Gdy Maria ukończyła miejscową szkołkę rodzice zawieźli
ją do Wiednia, na pensję pewnej owdowiałej generałowej, gdzie
przez dwa lata pobytu miała wprawić się w sztuce artystycznego
wyszywania złotą nicią ornatów i stuł (ofiarowanych potem
księżom i biskupowi istniejącym w rodzinie), w konwersacji
francuskiej, do której z czasem przyłączyła węgierska kantyle-
na, jako, że pani generałowa była z Budapesztu, i we wdzię-
cznym stawianiu "pas" w kadrylu i walcu, by w następnym kar-
nawale wytańczyć sobie przyszłego męża, zawczasu naszkico-
wanego kochającą ale i praktyczną dłońią rodziców.

Tymczasem pod nieobecność gospodarzy domu, dość często odwiedzających córkę, Anna spędzała swą samotność w bibliotece albo przed lustrem w bawialni Marii, co sprawiało, że coraz bardziej czuła się przynależną do rodziny państwa, coraz mniej do stangreta Erazma. Właściwie to już od najmłodszych lat żyła pod opieką chlebodawców ojca, którzy pomimo przywiązania do nich robotnej gospodyni Antonii, zmarłej matki Anczki, istnej czarodziejki w sztuce kulinarnej, czuli się w obowiązku umilić dziewczynce sierocie osamotnienie jako, że Erazm był zawsze lepszym stangretem niż ojcem, a za życia Antonii — mężem.

Bywało, że szczypało go z tego powodu sumienie i wtedy kończyło się na wyciąganiu go z piwnicy, gdzie siedząc na ziemi pod kranikiem najwściekszej z barył okrutnie pomstował na swój los wdowca i rozdzierającym serce głosem oplakiwał anielską Antonię, której zatruł i skrócił życie swym niktzemnym postępowaniem. Natomiast ci co ją znali mieli o babie wręcz odmienne zdanie. Umiała wprowadzić wyśmienicie przyrządzać gulasz, ale była swarliwa, pyskata, nieznośna w swych zmiennych humorach i pomimo dziobatej gęby — a może i dlatego — niepohamowaną chłopichą. Erazm bił ją, ale bez skutku. Jego krzyż pański skończył się w dniu, w którym Antonia niefortunnie dla siebie, a niezrozumiale dla otoczenia, spadła z wysokiej starej drabiny w zapomnianym od lat, na wpół zamurowanym skrzydle antycznej winiarni.

Na styple pogrzebowej szczodrze wyprawionej przez rodziców Marii zjawili się wielu dawnych "frajerów" z młodszych lat nieboszczyka, między innymi sam pan aptekarz. Erazm, który przez całe życie był okazem zdrowia i nigdy nie przestąpił progu miejscowej apteki (jedyne znane mu uniwersalne lekarstwo był to rumianek rosnący za stajnią) po raz pierwszy przyjrzał się fertycznemu jeszcze pigularzowi i pomimo obrzękłych z żałości oczu, dopatrzył się, przerażony, niezwykłego podobieństwa między nim, a swą Anczką. Odtąd coraz więcej pił i kłął, a coraz mniej spoglądał na małą.

A mała chowała się na schwał, coraz gładsza, coraz przytulniejsza, aż wyrosła na najurodziwszą dziewczynę, na najzwinniejszą tanecznicę w całej okolicy. Z czasem czytanie ksiązek i przeglądanie się w lustrze starego salonu dodało swoje i gdy z Wiednia powróciła Maria trudno jej było poznać w Annie swą dawną potulną towarzyszkę zabaw. Tej z kolei nie w smak było zamienić słoneczną obszerną szwalnię, w której dotąd sypiała na ciasny domek ojca, powtórnie ożenionego z młodą i dorodną dziewczuchą, co stało się powodem do ciągłych niesnasek między macochą i pasierbicą, którą nowa żona Erazma posądzała o wzbudzanie w ojcu kazirodczych uczuć. Biedna Anna nie mogła już znaleźć sobie miejsca. Poczuła się zdegradowana, upokarzana, tym bardziej, że Maria odkąd na własne oczy widziała w stolicy cesarza, idącego w procesji Bożego Ciała, nosiła się z wysoko i do Anny zwracała się, jak do swej służki.

W rzeczywistości i Maria czuła się nieszcześliwa. W międzyczasie ojciec przeszedł w stan spoczynku, co wzmocniło jeszcze bardziej jego kuratelę nad córką. Po miłym pobycie w wesołym Wiedniu, dom wydał jej się kwaterą główną, z której szły rozkazy ojca, jakby każdy członek rodziny i służby był w jakiejś randze jemu podległej. Poza tym dusząc się w monotonii małego miasteczka zaczęła uciekać się do wyobraźni, podnie-

canej potajemną lekturą Boccaccia i szeptem komentowanymi sensacjami, których dostarczał dwór cesarski, jesienne manewry w okolicy, no i megalomanse włosko-austriacko-węgierskie. Marzyła już tylko o jak najszybszym wydostaniu się z domu, porwana przez wymaginanego przez siebie królewicza, który by ją uniósł na swym białym rumaku.

Nadzieja na ziszczenie się przynajmniej części marzeń przysła wraz z zaproszeniem na ślub rówieśnicy, córki przyjaciela ojca jeszcze z czasów garnizonowych.

Wśród gości znalazł się młody Włoch, krewny matki panny młodej, co z punktu zakwasilo dobry nastrój pana rotmistrza, Marii natomiast wydało się, że za sprawą dobrej wróżki objawił się wyśniony królewicz. Młodzian nie przybył wprawdzie na białym koniu ale jego zgrabna postać legendarnego Kapuleta, krucze, falujące się włosy, ogniste spojrzenie i słodka mowa włoska sprawiły, że Maria młodzianka, różowianka i jasnowłosa w mig zamieniła się w na śmierć zakochaną Julię.

Nadobny Włoch, w rzeczywistości zwykły łowca posagowy był, biedny, jak mysz kościelna ale dumnie nosił swe odświętne ubranie, jak i tytuł hrabiego poprzedzający kilka romantycznie brzmiących nazwisk. Pomimo szlachetnego urodzenia — a może i przez nie — miał wiele zgoła nieszlachetnych przygód na sumieniu, ale w chwili, gdy pojawił się w dolinie podalpejskiej bogatej w winnice i sady figowe, natomiast ubogiej w ciekawych epuzerów, nikt nie mógł wiedzieć ile zdążył nabroić w ciągu swych zaledwie dwudziestu i czterech lat życia.

Gdy uszu rotmistrza doszły słuchy o amorach córki z włoskim intruzem, było już... za późno. Zdruzgotanemu ojcu nie pozostawało nic innego, jak czym prędzej obwieścić urbi et orbi zaręczyny młodej pary. Odbyły się uroczystości i okazało, jakby wszystko szło po myśli i sercu czcigodnych rodziców córy marnotrawnej. Sprosil moc co najprzedniejszych gości spośród krewnych i przyjaciół z sąsiednich majątków. Wielu towarzyszy broni z pułku rotmistrza zbojkotowało zaprosiny ze względu na narodowość przyszłego zięcia, mimo to zjechało się tyle osób, że dolina już na parę dni przed ustalonym ewenementem sprawiała wrażenie zamienionej ni tylko w teren zjazdu przedstawicieli "narodów" Fraciszka Józefa, ale i święto unii włosko-austro-węgierskiej. Wzmocniała owo wrażenie obecność zaangażowanej orkiestry madziarskich cyganów w ich malowniczych narodowych strojach oraz pary śpiewaków lirycznych z zespołu wędrownej opery włoskiej.

Narzeczony był ku rozrzewnieniu obecnych obustronnym sierotą, ale zjawilo się kilku leciwych pociotków z jego strony, uszminkowanych, w koronkach i wytartych aksamentach, z wzajemnych dialogów przypominających bohaterów komedii Goldoniego albo po prostu zbiegów z weneckich zapustów.

Uginające się stoły, antałki tryskające starym miejscowym moskatелеm, doskonała muzyka wróżyły, że zabawa przeciągnie się do różowego brzasku. A tymczasem — pewnie niezwykle wydarzenie przerwało radosny nastrój w samym kulminacyjnym punkcie zabawy.

Otóż gdy skoczna polka i zamaszysty czardasz wyparły tany z posadzki i pary wysypały się na ścieżki i trawniki starego parku by w końcu wyhasane odpocząć po ławkach, paru starszych gości siedzących przez czas zabawy w altanie w rogu parku, usłyszało wydobywające się jakby spod podłogi echa

krótkich, głuchych szlochów i błagań kobiety i ochrypłych ryków mężczyzny.

Powiadomiony o tym gospodarz z latarnią w ręce odszukał koło altany bluszczem porosły otwór prowadzący do schodów w dół. Zaraz kilku co śmielszych z młodzieży zeszło do podziemia i wąskim pewnie od lat zapomnianym korytarzem udało się w kierunku rozlegających się coraz wyraźniej krzyków.

Z jednego z bocznych lochów sączył się słaby promień światła. Gdy skradając się na palcach zbliżyli się do półkolistej wnęki oczom ich przedstawił się widok niezwykły, jak i zrazu niepojęty. Tyłem do nich przy olbrzymiej drabinie stał Erazm. Pijany ale trzymający się krzepko w rozkroku wygrażał komuś, celując w górę wielkim pistoletem.

— No, skoczysz, czy nie — ryczał rozjuszony — skacz, bo strzelę, skacz, mówię, bo zabiję i ciebie i twego "italiańskiego" bękarta! No skacz, — powtórzył, potrząsając wolną ręką drabinę opartą na wysokości piętra o wnękę w kamiennej ścianie, gdzie siedziała skulona, śmiertelnie blada, z błagalnym wyrazem rozszerzonych oczu, Anna.

Podczas gdy jedni z trudem rozbijali pijanego siłacza, inni zajęli się przerażoną dziewczyną.

Wstrząs, jakiego doznała musiał pomieszać jej chwilowo rozum, bo choć otoczona serdeczną opieką w domu rodziców Marii, dni całe przesiadywała w szwalni, tępo wpatrzona w podłogę, tylko od czasu do czasu cicho wymawiając imię Lorenza.

Nie mniejszy obraz żalości i wstydu przedstawiali rotmistrz i jego żona odkąd córka ich, opuściła dom i znalazłszy schronienie i poparcie u jednej z krewnych, jak gdyby Annie na przekór, przygotowywała się do ślubu.

Odbył się dnia czternastego sierpnia roku 1888 o szóstej rano w jednej z bocznych kaplic miejscowego kościoła. Najdziwniejszy ze ślubów jakie pamiętano w całej rozległej dolinie podalpejskiej z jej licznymi kościołami. Obrządek odbył się w jakimś nerwowym pośpiechu bez asysty rodziców, bez organów, bez kwiatów, bez bicia dzwonów, w obecności kilku porannych dewotek i gapiów ciekawych piętnastoletniej panny młodej z rozkazu wuja proboszcza w długiej czarnej sukni i z czarnym woalem na dziecięcej jeszcze ale trupio bladej twarzy o uparcie zaciętych ustach, no i — równie żalobnie prezentującego się pana młodego, który rozglądał się wciąż, niespokojnie, jakby w obawie przed czyjąś zemstą.

W kościele nikt się nie zemścił, ale następnego dnia o tej samej, wczesnej godzinie. Anna zerwała się jak oszalała ze swojego posłania i w nocnej koszuli pędem pobiegła do starej opuszczonej winiarni gdzie tym razem z własnej ale zamroczonej woli, skoczyła z pamiętnej drabiny na kamienną podłogę piwnicy. Upadając, zawadziła o beczkę, której wystająca pęknięta obręcz okaleczyła jej na zawsze dolną część twarzy. Złamane kości nóg także nigdy się już należycie nie zrosły. Natomiast — dla wszystkich niezrozumiale, dla niektórych dzięki jakiemuś cudowi, dziecku nie stała się krzywda. W nor-

malnie przewidzianym czasie urodził się piękny, zdrowy chłopczyk. Było mu widać sądzone umrzeć młodo w innych okolicznościach, w dwadzieścia kilka lat później w krwawej bitwie nad rzeką Isonzo.

Ale wróćmy do roku jego poczęcia. Był to rok urodzajny, bogaty. Winnice obrodziły, jak rzadko. Gdy popłynął pierwszy mroźny, dolina rozbrzmiała śmiechem, pieśnią i radością. Płoto na umór, tańczono do upadłego. Jak zawsze i wszędzie najwytrzymalszym z uczestników pohulanki był Lorenzo.

Anna leżała jeszcze w szpitalu, Maria ze względu na swój stan siedziała samotna w domu. Za to Lorenzo, znów zadurzony w ślicznej córce właściciela zajazdu, wywijał co sił.

Nikt nie widział, jak wśród największej zabawy oboje znikli z tłumy tancerzy, ale nazajutrz wszyscy podawali sobie szepciem straszną, druzgocącą nowinę: kochanków znaleziono bez życia splecionych w uścisku w krzakach winnicy pana rotmistrza.

Wiadomość wstrząsnęła całą okolicą. Mieszkańcy jej żyli w jakimś koszmarnym nastroju, bojąc się przypuszczać, bojąc się wypowiadać, jak gdyby każdy z nich ponosił część winy za to, co się stało. Wypadek był żywo komentowany w gazetach, z głównego miasta przyjeżdżali jacyś ponurzy, czarno odziani panowie. Szeptali między sobą, rysowali miejsce wypadku, kręcili głowami, szukali świadków.

Ale biegł już rok 1889 i w ostatnim dniu sierpnia spadł nowy straszny grom, który wstrząsnął nie tylko prowincją, ale i krajem, ba, światem całym: następcę tronu Habsburgów, Rudolfa i jego młodziutką przyjaciółkę Marię Vetscherę znaleziono nieżywych w zimowym zamku myśliwskim księcia.

Było to zabójstwo? Samobójstwo? Kto mógł wiedzieć?

Cień tragedii, jaka się rozegrała w zamku Meyerling pokrył w swoim czasie niejedną romantyczny skandal. I tak śmierć Lorenza i towarzyszeki jego ostatniej zabawy zesłała na plan drugi i z czasem zbladła.

Ale we mnie, szczególnie gdy nie mogę w nocy usnąć, nurtuje niezmienna, makabryczna ciekawość. Kto zabił pięknego Lorenza?

Ojciec Marii? Ojciec Anny?

A może zginął z okrutnej zmywy obydwóch?...

Mira Stawińska.

OGIER Z SANTA ROSA

Który to gauchó nie lubi koni? A ja za końmi przepadam. Tak to już było całe życie. Moja nieboszczka stara nieraz mówiła:

— Ty byś za dobrego konia duszę diabłu sprzedał.

Może to i prawda, panowie, nie będę się zapierał.

Otóż zdarzało mi się widzieć wiele dobrych koni, ale za żadnego nie dałbym kusemu nawet ćwierci chrześcijańskiej duszy. Były to mierzyny gorącej krwi, potrafiły zrzucić w taktuarę mniej doświadczonego jeźdźcę, ale brakowało im odrobiny fantazji i sprytu. A bez tego koń to jak dzwon bez serca.

Czytałem kiedyś bajkę o jednym chłopku, któremu złoty ptak za zwrócenie wolności podarował karego ogiera, lecącego szybciej, niż *teco-teco*, pod samymi obłokami. Mają ludzie szczęście! Mnie się taka gratka nigdy nie przytrafiła, chociaż szukałem jej po wszystkich jarmarkach.

Nie będę wam opowiadał ile milów straciłem na konie bo byście mnie mieli za łgarza. Inni tyle pieniędzy nie postawili na **biszkę**, ani na koguty. Nie żałowałem tego nigdy. Ostatecznie, wszyscy mamy jakąś słabośćkę. Jeden lubi ładne buziaki, inny pingę albo karty. Ja, panowie, choruję na konie.

Mam kuma w Santa Rosa. Trzymałem już do chrztu pół tuzina jego dzieciaków, ale widać mało mu tego było, bo znowu poprosił mnie na chrzciny. Pojechałem. Zebrało się mnóstwo ludu z całej okolicy, wszyscy konno jako, że u nas te śmierdzące samochody jeszcze się nie rozmnożyły.

Zostawiłem kobyłę przy płocie i witając się po drodze ze znajomymi zdążam do chaty kuma Anastacia. Raptem wybałuszam oczy i stoję jak wryty.

Tak, to ten, którego szukałem, wrony ogier o diabelskich, złośliwych oczach i nerwowych nogach, cienkich w pęcinie. Nogami tymi przebierał niecierpliwie, a miał na nich białe skarpetki i taka sama biała strzałka biegła przez czoło. Nie był osiodłany, przyprowadzono go jako luzaka.

Zobaczwszy mnie przyjrzał się ciekawie i wierzcie, albo nie, mrugnął jednym okiem, jakby chciał powiedzieć:

— Czy my się czasem nie znamy, stary?

Poszukałem czym prędzej kuma Anastacia i mówię:
— Ty, nie wiesz czasem do kogo należy ogier co go uwiązano do imbui?

Kum popatrzył, uśmiechnął się i powiada:

— Zaraz ci przyprowadzę właściciela.

Nie trwało długo — widzę idzie z jakimś drabem nieogolonym na pysku, **bombasze** na nim jak balony.

— Elcio, — mówi kum — przedstawiam ci mojego przyjaciela, Francisca, któremu bardzo przypadł do serca wrony ogier. Wiem, że chcesz go sprzedać.

— Czemu nie, — zaśmiał się Elcio — mogę sprzedać. Tylko muszę cię uprzedzić, przyjacielu, to koń niebezpieczny. Niejeden przez niego rozbił sobie kuper. Niedawno strząsnął pewnego **valentão**, o którym twierdzono, że ujeżdża najdziksze wierzchowce. Liże się jeszcze w szpitalu, pięć żeber ma połamanych i dziurę we łbie.

— Nic nie szkodzi — powiadam — ja się go nie boję.

— No, to jak uważasz. W każdym razie uprzedziłem cię.

Dobiliśmy szybko targu, a ze mną nie umiem wam powiedzieć co się działo. Serce skakało mi z radości, a w głowie jakiś szum rozkoszny. Tu mnie proszą na wódkę, a ja, jak zazarowany, godzinami wystaję przy ogierze, nie mogę się na patrzeć. Boże, co za koń! A ogier jakby to rozumiał rżał wesoło, zęby szczyrzył!

No, skończyła się festa, fugietów natrzaskano ile wlezie, mogłem nareszcie zabrać ogiera. Myślicie może, że wleżem od razu na niego? Nie jestem wariat, panowie. Pojechałem, trzymając go na linie, wolno, drobnym truchtem. W drodze moja kobyła cały czas strzygła uszami, aż nagle jak nie skoczy, nie stanie dęba! Mało brakowało, a byłbym zleciał przez zad prosto pod kopyta wronemu.

Patrzę a ten drań uciał kobyłę w kłab, znak jeszcze widać, a sam jakby nic, oczy mu się tylko śmieją po szelmowsku.

— No, — myślę — niezły początek.

Dojechaliliśmy jakoś bez dalszych przygód do domu, za dałem ogierowi obroku, tego dnia dałem mu spokój. Ale na zajutrz od rana zabrałem się do ujeżdżania.

Co tu dużo gadać! To była prawdziwa rozkosz nie koń. Pędził jak wicher, a przy tym inochodzić, jechało się na nim bez wstrząsów, lekko, jak na puchu. Nie będę twierdził, że nie zleciałem ani razu, to się zdarza, ale w końcu ujeździłem go, szedł jak chciałem, jadł z ręki.

Po dwóch tygodniach tej tresury postanowiłem wybrać się na mszę niedzielną. Kościół miałem o dobre trzy mile, drewniany, ale w środku jak cukierek. Samych świętych figur z dziesięć, a św. Antoni w głównym ołtarzu słynął z cudów.

Grunt zaś, że niedaleko kościoła mieszkała jedna kobietka, do której się zalecałem, młoda wdówka nazwiskiem Bobowa. Słodkie to było, okrągłutkie, a oczy niebieskie jak gwiazdy. W owych czasach nie byłem jeszcze żonaty i oglądałem się za babą.

Wyjechałem w nocy, jednej z tych parnych nocy listopadowych, kiedy niebo, zasnute chmurami, jest granatowe, prawie czarne. Ogier stapał noga za nogą szeroką pikadą przez rzadki las, nie potrzebowałem go prawie prowadzić, a ja na wpół drzemałem, na wpół rozmyślałem.

Nagle przebiegła drogę raposa. Koń stanął dęba, a ja wyleciałem z siodła, jak z procy. W kolczastych krzakach podrapałem do krwi głowę, a co gorsza o jakąś ostrą gałązkę rozdarłem spodnie na siedzeniu. W dodatku były to nowe bombasze, dopiero co kupione.

Wygramoliłem się z krzaków, patrzę, a mój ogier objada spokojnie liście z *limão do mato*. Nie mogłem mieć do niego, właściwie, pretensji; zawiniła raposa, a jednak zły byłem. Głównie o spodnie. Jak ja się pokażę w kościele?

— No, — myślę — pojedę do Bobowej. Ona mi bombasze zaszyje.

Tak też zrobiłem. Nie dojeżdżając do kościoła zatrzymałem się przed jej chatą. Nie zdążyłem jeszcze klasnąć w dłoń, zauważyła mnie przez okno i pobiegła otworzyć furtkę. Było jeszcze bardzo wcześnie, słońce ledwo weszło i Bobowa cała różowa od snu wyglądała bardzo ponętnie. Więc nie wiele myśląc podsunąłem się do niej, chcąc ukraść całusa.

Odsunęła mnie jednak i powiada:

— Nie tak szybko, seu Francisco. A któż tak pana podrapał? Jakaś panienka? Cały policzek pokrwawiony.

— Tss, pani Bobowa! Z konia spadłem. Najgorsze, że spodnie podarte. Trzeba zreperować.

— Zrobi się, ale że też pan taki nieostrożny! Przez te ko-
nie życie pan kiedyś postrada.

— No, no, pani Bobowa. Nie wyrzekaj. Umyć się chcę...

Dała mi miskę z wodą, zdjąłem bombasze i podałem jej przez uchylone drzwi od kuchni.

Ledwo zdołałem się jako tako doprowadzić do porządku i kładę bombasze załatane przez Bobową, aż tu słyszę straszny harmider na dworze. Dopinając spodnie wybiegam. A tu, patrzę, świniak Bobowej leży do góry brzuchem i kwicząc rozstaje się ze światem. Cóż się okazuje? Świniak, jak to świniak, kręcił się po podwórzu. Mój ogier dopuścił go spokojnie do siebie i nagle kopnął w łeb.

Dopadłem ja do niego, łobuza, a ten rozkraczony stoi nad świniakiem i wierzcie mi, panowie, w oczach ma diabelską uciechę. A tu już i Bobowa wybiegła na podwórze i dawać lamentować.

— Nie płacz, — mówię — pani Bobowa. Ja za świniaka zapłacę.

A ta jak się na mnie rzuci:

— Nie potrzeba mi — powiada — twoich pieniędzy! Ani ciebie i twojego konia. Wynos się — mówi — pokiś cały.

Strasznie mi się markotno zrobiło. Ale co? Czy kto jeszcze przegadał babę? Wsiadłem na konia i pojechałem, a koń jak jagniątko, jakby chciał swoje grzechy zamodlić.

Dobrze choć, że na mszę poranną zdążyłem. No, pomodlił się człowiek, kazania pięknego wysłuchał, powinno się łżej zrobić na sercu. Ale nie... Wciąż mi się to zdarzenie ze świniakiem Bobowej przypomina. Widzę, że przez wronego konkury diabli wzięli. Szkoda mi tej kobiety, aż się płakać chce. Więc kiedy po mszy wendziarz Witkowski zapraszał mnie do siebie na obiad odmówiłem.

— Nie, panie Witkowski, innym razem. Dzisiaj spieszy mi się.

A Bogiem, a prawdą nigdzie mi się nie spieszyło.

No, przytrzymałem wronę i wsadzałem nogę w strzemień. Ledwo jednak uniosłem się i dotknąłem siodła ogier podkoczył, jak mnie nie kropnie w podbrzusze! W oczach mi pociemniało, sam nie wiem kiedy znalazłem się na ziemi.

Pozbierałem się jakoś, a wstyd mi cholernie, bo właśnie ludzie wychodzili z kościoła, a tu takie przedstawienie. Wsadzałem ja nogę w strzemień, ta sama sztuka. Tym razem myślałem, że mi ogier wszystkie bebechy poprzetrącał, a przy tym zlatując kropnąłem krzyżem w jakieś kamień.

Złość mnie wzięła, lezę na konia po raz trzeci. Ludzie mnie starają się odciągnąć, wołają, że ogier mnie zabije, a we mnie zawziętość rośnie:

— To ja go raczej zabiję.

Ubiegając diabelski chwyt ścisnąłem go od razu mocno nogami i w następnej chwili siedziałem już jak przyśrubowany do siodła. Ach, co się wtedy działo. Ogier oszalał. Stawał dęba, siadał na zadzie, przechylał się gwałtownie do przodu. A gdy to zawiodło pognął wprost w drzwi wendy Witkowskiego. Wszystko co żyło uciekło w popłochu. Myślałem, że naród nogi połamie.

Udało mi się na szczęście zahamować i uniknąć zderzenia. Ogier zwolnił biegu.

— Panie Burda, — zawołałem — wsadź mi pan prawą nogę w strzemień! Bo nie zdążyłem tego zrobić.

Burda podkoczył, pomógł.

Ledwo się to stało, ogier zarżał dziko i puścił się galopem przez pole zeschłej kukurydzy. Wpadł potem w takuare i wyrwał na trakt. Miałem, w rękę pręt i tym prętem zacząłem go okładać. Taka mnie złość wzięła, że byłbym go zakatował.

Po drodze — rzeka. Koń ominął most, wpadł do wody, aż się rozprysnęła dokoła, zalewając mnie od góry do dołu. Gnałszy potem jakimś kampem, przeskoczyliśmy przez parów.

— Czekał-że ty, — myślę, — już ja cię przemogę.

Wlecieliśmy w las. Pikada była wąska. W oczach migaly drzewa, liście, kwiaty.

Jakby teraz jakaś grubsza gałąź! To byłby koniec.

Ukazała się nowa rzeczka. Wrony przystanął, chciał się napić. Ściągnąłem cugle, nie pozwoliłem.

Pocwałował, ale widać było, że ma dosyć. Boki mu się podnosiły i opadały, ziajał. Nagle wyprężył się i upadł. W ostatniej chwili zdążyłem zeskoczyć. Wstał, złapałem się za lęk, siedziałem już w siodle.

Wyraźnie sfolgował, panowie. Cały był w pocie i pianie. Ja też byłem mokry od potu i wody.

Tak dociągnęliśmy do domu. Wprowadziłem wronę do stajni, rozsiadłem i obtarłem.

Czułem się, jakby mnie kto oblał kijem. Mdlący ból wiercił w brzuchu. Ciągnęło do łóżka. Ale przemogłem się i jak stałem, nie myjąc rąk, położyłem do zagrody sąsiada, Jakimca.

Jakimiec mieszkał o dobre pół kilometra. Ledwo tam doszedłem.

Patrzę, w ogrodzie córka Jakimca okopuje cebulę.

— Ojciec w domu? — pytam.

— Śpi po obiedzie.

— To go budź. Powiedz, że mam ważny interes.

Wytarła czerwone łapy o kieckę.

— Wejdzie pan do domu?

— Nie. Poczekam tutaj.

Stałem trzymając się jedną ręką płotu, ból mnie nie o-
puszczał.

Przyszedł niedługo Jakimiec. Szeroki jak córka, brzucha-
ty, w rozpiętej koszuli, pasek też rozpięty dynda się po roz-
porku.

— Jakimiec, — mówię — kupisz mojego ogiera?

— Tego wronego? Ale co się stało?

— Nic się nie stało. No, kupisz? Tanio sprzedam.

— Bo ja wiem?... Koń dobry, ale tak nagle... Muszę się
zastanowić.

— To go nie dostaniesz. Sprzedam komu bądź. Wart jest
pięćset, ale daj sto, wystarczy.

Jakimiec wybałuszył oczy.

— Jak tak ci zależy...

— Wcale mi nie zależy.

— To już dobrze, kupię. Ale wstąp na chwilę. Zabiłem
wieprzaka, jest dobra kiszka, kaszasa. Musowo oblać interes.

— Innym razem. Teraz zabieraj konia.

Ledwo się dowlokłem do domu. Starczyło siły, żeby od-
wiązać wronego i oddać Jakimcowi. Nie pamiętam kiedy się
zwlokłem na wyrko. Przeleżałem dwa tygodnie, wylizałem się
jakoś, została ruptura wielka jak jabłko.

Ale mimo wszystko przepadam za końmi, panowie.

Sebastian Arhens

Spóźniony powrót

Wszelkie echa dzwonu, który nam wygrywał
gamy słonecznych godzin,
wszelkie sny, które wiatr rozwłóczył
po kolcach bezróżnych krzewów,
wszystek szum tajemnic ukrytych
w muszli, samotnym świadku z wybrzeża
zebrałam w wiązanke, jak kwiaty
i na progu wpółotwartych wrót
czekałam, wierna, twego powrotu.

Dzwony wybijały podzwonne czasowi,
morze fale słało, by zaciszyć szept muszli,
wicher sny zaklinał w ołowiane zmory.

I gdy cię w końcu przywiodło ze świata
zastałeś wrota zamknięte i nieme,
bo je burze wiosenne zawarły
i sieć pajęcza zasnęła.
Za nimi ja spałam strudzona
z naręczem zmurszałych kwiatów,
którym płatki spłowiwały do bieli,
jak ustom moim czerwień obietnic.

Huk gromów głuszył twe kołatanie
i coraz cichsze wołanie imienia,
które nie było już moim.

Mira Sławińska.

Kawałek chleba

Kończył się krótki dzień zimowy. Słońce kryło się za lasem. Drobnym śnieżek wirował chłodnym powietrzem. Czasem powiał wiatr, zaskowytał pomiędzy sosnami i przypadał do ziemi, kryjąc się w gąszczu jeżyn i jałowców. Ciszę przerywało tylko krakanie gawronów gnieźdzących się na wierzchołkach przydrożnych dębów.

Na gościńcu ani śladu człowieka. Wozy nie jechały już tędy dawno, koleiny przysypało równo śniegiem; tu i ówdzie widać było drobne ślady łapek ptasich i odciski nóg zajęczych.

Wanda wędrowała tym gościńcem od kilku godzin. Musiała przed nocą dotrzeć do Żyrardowa, gdzie mieszkała z matką. Udało jej się zdobyć na wsi bochenek chleba. Ani odrobiny tłuszczu. Nie chciała go dla siebie, tylko dla matki. Ale ani odrobiny.

W tyle za nią, stąd nie było go widać, ciągnęło się martwe miasto, w którym niegdyś żyła szczęśliwie. W oczach jeszcze miała łuny pożarów, słyszała świst kul karabinowych, skowyt granatów i straszliwy huk bomb. Nie myślała, że przeżyje, chciała nawet umrzeć z tym miastem, jak nie chce się trwać po śmierci ukochanej osoby. Ale los zrządził inaczej.

Dzień dogorywał. Na niebie rozlała się czerwień, czarne chmury zabarwiły się fioletowo. Śnieg padał teraz większymi płatkami, ale mróz nie zelżał. Zdawało się nawet, że skuwa mocniej zmaltretowaną ziemię.

Wanda przyspieszyła kroku. Starala się nie myśleć o niczym: iść, iść. Zgrabiła ręce wsunęła w rękawy kożuszka. Plecak z tym jednym chlebem ciążył jej, jakby ważył pud. Słaba była, zdawała sobie z tego sprawę. Iść, iść... Nie odpoczywać ani chwili.

Nagle na zakręcie, spod krzaka leszczyny wyrwał się cień. Stała. Człowiek. Nie przestraszyła się nawet. Podszedł bliżej. Wtedy przekonała się, że ma na sobie płaszcz niemiecki. Ponad szyją okręconą ręcznikiem, wznosiła się głowa kształtu gruszki obróconej ogonkiem do dołu o twarzy porośniętej jasną szczecina, zapadniętej, sinej.

Patrzyli na siebie chwilę. Potem człowiek odezwał się. Głos miał nadtrzaśnięty, jak u skowyczącego psa.

— Proszę się nie bać. Ja pani nic nie zrobię.

Przysięgała sobie, że nigdy w życiu nie wypowie słowa po niemiecku. Nienawidziła ten naród, jak można nienawidzić ślepą, potworną siłą, nie znającą litości, okrutną.

A jednak odpowiedziała:

— Nie, nie boję się.

— Ale ja się boję. Pani wie: Rosjanie. Wszędzie widzę ich bure płaszcze, w dzień, w nocy. Śnią mi się. Uciekam. Wokoło las i śnieg i nikogo. I nic. Wciąż uciekam, trzęsąc się ze strachu. Och, proszę pani...

— Rosjanie poszli na zachód.

— Dla mnie nie poszli. Czuję ich obecność. Szukają mnie.

— Dawno pan mieszka w lesie?

Zwilżył suchym językiem wargi.

— Nie liczę dni, nie wiem. Długo. Znalazłem stóg siana. Zaszywam się głęboko w to siano, da się spać, dość ciepło. Kiedy się śpi nie czuje się głodu. Ale potem... Zjadłem już całą żelazną porcję i pas skórzany. Dobry jest taki pas, można go zuć powoli. Raz złapałem zajaca...

Uśmiechnął się blade.

— Najpierw wypilem krew. Potem jadłem surowe mięso, w końcu skórę, z sierścią, razem z sierścią, żeby zapełnić więcej żołądek. A potem miałem torsje. Za dużo zjadłem widocznie. I ten zajac poszedł na marne. Czy pani nie ma czegoś do zjedzenia? Jestem bardzo głodny.

Wanda zdjęła milcząc plecak, rozwiązała go.

— Ma pan nóż?

— O, tak.

Podał jej bagniet. Wyjęła chleb, odmierzyła trzecią część. Patrzył jak kraje. Oczy, usta, ręce, wszystko w nim było pożądliwością.

Nie patrząc wręczyła mu ten kawałek chleba, wiedząc, że wręcza go wrogowi, który w tej chwili nie jest już wrogiem, tylko po prostu człowiekiem.

Zawiązała plecak i poszła. Kiedy się odwróciła po pewnym czasie stał jeszcze w tym samym miejscu z chlebem w ręku, z kawałkiem chleba w ręku.

Seweryn A. Hartman

PISMAKI NA FRONCIE

Dopiero teraz, po dwudziestu latach, mogę ujawnić pilnie dotąd strzeżoną tajemnicę: Nie nazywam się Ryszard Kiersnowski i nie pod jego nazwiskiem byłem na froncie 1 Dywizji Pancernej.

Kiersnowski — to był ten drugi blondyn (o wiele zresztą brzydszy) i nigdy nie mogłem zrozumieć odrażającego gustu tamtych wszystkich Francuzek, Belgijek i Holenderek (fraternizacja była wówczas jeszcze wzbroniona, więc poprzestańmy na tamtych trzech narodowościach), które jak wariatki leciały na niego. Chyba dlatego, że gdy sobie popił to mu się zdawało, że umie śpiewać.

Zacząło się to zaraz na początku, wśród kurzu i pyłu, pod tymi krzaczkami Normandii, kiedy to generał Maczek, dygocząc z oburzenia, zwrócił się do mnie:

— Słuchaj, Kiersnowski, to są zbrodnicze bzdury, które korespondenci wojenni wypisują, czy nagrywają do Londynu.

— I tak już zostało. Poprzekręcano nam nazwiska i przez całe miesiące cierpiałem, okryty hańbą, podczas gdy Ryś Kiersnowski otulał się chwałą mego nazwiska. Ś. p. generał Kazimierz Dworak, od którego dziennikarze otrzymywali informacje, wyjaśnienia oraz codziennego drinka, przyjmował nas w swym wozie na porannej konferencji.

Pytałem go:

— Panie generale, podobno wczoraj wzięliśmy do niewoli stu jeńców?

— Ależ, mój drogi Kiersnowski, — odpowiadał generał Dworak — ci Polacy mają zawsze skłonności do przesady. O żadnych 100 jeńcach nie ma mowy. Wzięliśmy zaledwie 97 Niemców do niewoli.

Wytworny, uroczy pan, miał swoje problemy. Zwykł być mówić:

— Mój kochany, ci Polacy nie mają najmniejszego pojęcia, jak się przyjmuje królów. Literalnie nic nie rozumieją!

Sam Dworak, dawny k.i.k. oficer z Wiednia, brał w swym życiu udział w przyjęciach na cześć cesarza Franza Józefa, i króla rumuńskiego i cara bułgarskiego, a potem, w Szkocji, na cześć Jerzego VI. Oburzał się na polską kuchnię:

— Czyż możesz sobie wyobrazić gorsze menu od polskiego? Barszcz z uszkami, kurczęta z mizerią, lody śmietankowe i to wszystko podlane wódką. I tak zawsze, od stu lat. Ależ, mój kochany Kiersnowski, toż to przecież istna herezja”.

12 miesięcy przy Dywizji

Z Dywizją Pancerną Maczka wyruszyła w pole ekipa prasowo-propagandowa, pismaki — jak nas godnie tam zwano. Oprócz polowego “Dziennika Żołnierza” byli filmowcy, fotografowie, malarze, literaci oraz grupa korespondentów wojennych, przydzielona do 1. Armii Kanadyjskiej. W pierwszym okresie grupa ta składała się z Mariana Walentynowicza, Konrada Syropa, Ryszarda Kiersnowskiego i mnie. Z czasem skład ten ulegał zmianom; jedni odjeżdżali, przyjeżdżali inni. Dziennikarze, pisarze, poeci, publicyści. Słowem pismaki. Bez przerwy tylko ja jeden przebyłem w dywizji dwanaście miesięcy, asystując jej przy obu wielkich ofensywach, jesiennej 1944 roku i wiosennej roku następnego.

Amsterdamskie pieski

Korespondent wojenny Bolesław Piekarski był najlepszym kumplem i uroczym towarzyszem pracy i... nie-pracy. Spokojny, opanowany, dobroduszny i bez nerwów, stał się ofiarą naszego barbarzyńskiego humoru. Pewni, że nasz Maczek prędzej czy później uwolni przecież Holandię — już w Belgii zaczęliśmy przygotowywać Piekarskiego na tę chwilę. Kiersnowski pytał: “Bolciu, biegasz za literatę, no to nam powiedz, jaki jest rym do słowa “Amsterdam”? Bolcio nie wiedział. “Rym do słowa Amsterdam to oczywiście... Rotterdam”! Idiotyczny pomysł, ale Kiersnowski powtarzał go już regularnie, dwa razy na dzień. Rym do Amsterdam to zawsze Rotterdam. Pamiętaj, Bolciu!

Jeszcze bardziej kretyńskie było inne powiedzonko. Była to zawiła historia, z której miało wynikać, że w rezultacie działań wojennych i okupacji niemieckiej obecnie psy w Amsterdamie d... i szczekają. Wyglupialiśmy się przeraźliwie całymi miesiącami. Aż nastał kwiecień roku 1945 i gen. Blaskowitz

poddał grupę swych armii w północnej Holandii. O godzinie jedenastej w nocy, na godzinę przed oficjalnym terminem, przekroczyliśmy linie niemieckie w okolicy Amersfoortu. Jedziemy jeepem po szosie, która w pewnej chwili nie jest już więcej oznaczana przez sojuszniczą regulację ruchu. Jeszcze tylko tablica z napisem: "Uwaga, jesteś pod obserwacją nieprzyjaciela" — i dalej zupełna pustka i cisza. Jedziemy tak dwa, trzy kilometry, poczem dostajemy sygnały, żeby się zatrzymać. Patrol niemiecki. Stają na baczność, podoficer salutuje, sprawdza, czy w wozie nie ma osób cywilnych. Wszystko w porządku, korespondenci prasy sprzymierzonej. Jedziemy dalej. W jakiejś wsi święto, gra gramofon. Na nasz widok tłum rzuca się do samochodu. Niech żyją Alianci. Niemcy patrzą na wszystko obojętnie. Są przybici, zgnębieni, już nie reagują.

Przejeżdżamy przez Utrecht. Napotkani żołnierze salutują służbiście. Nad ranem dojeżdżamy do Amsterdamu. I nagle, w nocnej ciszy zaszczekał gdzieś jakiś pies. "Słyszysz, Bolciu? — nachyliam się do drzemającego Piekarskiego — czyś słyszał jak dziwnie? Pamiętasz przecież, cośmy ci mówili. Teraz przekonaliśmy się osobiście: Bo w Amsterdamie, Bolciu, psy d... i szczekają.

Rozrzutni Polacy

Przez pewien krótki czas grupa korespondentów polskich posiadała własnego cenzora, na froncie. Abyśmy mogli telegrafować po polsku zamiast wysyłać wiadomości workiem lotniczym do cenzury w Londynie. Nie trwało to jednak długo, zwłaszcza że kapitan-cenzor wraz ze swym ordynansem interesowali się głównie rybołówstwem, mało przykładając się do splendoru obsługi prasowej.

Raz, zdaje się, że było to w Antwerpii, przyjechał do kanadyjskiej kwatery prasowej rabin Dywizji, kapitan Klepfisz. Chodziło o jakiś sprawozdanie, jakiś opis uroczystości Sądneho Dnia w Gandawie. Trzeba wiedzieć, że wdzięczna Gandawa, uwolniona przez Polaków, obdarowała również i kapitana Klepfisza medalem za oswobodzenie. Stoję właśnie w kasynie z naszym cenzorem i przybyłym przed chwilą rabinem, kiedy zajeżdża amerykański generał Allen, szef służby prasowej Eisenhowera, przybyły do nas na inspekcję. Komendant kanadyjskiej kwatery prasowej przedstawia gen. Allenowi po kolei wszystkich korespondentów wojennych. Kanadyjczycy, Amerykanie, Anglicy, Francuzi, Rosjanin, Czech.

— A to jest grupa polska — mówi.

Allen podchodzi, wita się, mówi parę komplementów — w roku 1919 był przez pewien czas attaché wojskowym w Warszawie — poczym zapytuje o nasze funkcje. Przedstawiam się jako korespondent wojenny PAT'a, potem kolej na cenzora,

wreszcie kpt. Klépfişz oświadcza, że jest naczelnym rabinem dywizji polskiej.

Allen nic nie odrzekł, ale potem w rozmowie z komendantem kwatery wyraził swe najwyższe zdumienie.

— Polacy, to dziwny naród — mówił - no bo jakże? Przy ogromnej ciasnocie etapów przydzielać każdemu korespondentowi wojennemu jednego cenzora i jednego rabina, to nielada rozrzutność.

Najpiękniejsze wspomnienia

Skończyła się wojna i Dywizja osiadła na okupacji. Dostała najgorszy, najbrzydszy skrawek niemieckiej ziemi. Ale wypełniła i to zadanie, jak wypełniała wszystkie swe zadania. Bez reszty. Zadania najbardziej niezawodnego sojusznika, który wypełniał swój obowiązek do końca. Może lepiej i ofiarniej niż tego wymagano. Niż było warto.

Dziś pozostały wspomnienia. Najmocniejsze wspomnienia walk i zwycięstw, tragedii, smutków, śmierci. A także radości i humoru. Wspomnienia z czasów, gdy to psy w Asterdamie tak jakoś dziwnie szczekały.

MACIEJ FELDPUZEN

Esporte Universal Ltda.

ARTIGOS PARA TODOS OS ESPORTES
E UNIFORMES PARA COLÉGIOS

Rua Líbero Badaró, 356 — TEL.: 37-5660

Caixa Postal, 4413 S ã O P A U L O

Pensjonat ciotki Rosalindy

Ciotka Rosalinda była brzuchata i cystacka. Zalatywało od niej ostrym murzyńskim potem. Małe, zapłynięte tłuszczem oczy patrzyły chłodno i przebiegle, ale z dyniastej twarzy nie schodził dobrotliwy uśmiech.

W porównaniu z ciotką Marcją, szczupłą i niedużą, wyglądała jak kruszyna. Ciotka przyglądała się jej chwilę z zaciekawieniem. Potem wyciągnęła ramiona i przyciągając do obfitego łona pocałowała tłusto w smagły policzek.

— Nie bój się, głupia, — powiedziała. — Będzie ci u mnie dobrze. Nie przyjechałaś przecież do obcych. Antonio, Antonio!

Z głębi mieszkania wyskoczył, jak z procy, nawykły widać do posłuchu, kilkunastoletni brudny chłopak w podartych fermerkach i poplamionej koszuli.

— Weź walizkę panienci i zanieś do jej pokoju.

Chłopak zagapił się na Marcję, ale zaraz pospiesznie nachylił po walizkę, co nie uchroniło go przed kopniakiem.

— Zawsze to samo... Zawsze ruszasz się jak żółw, niezgulo!

Marcia słuchała tych wymówek z wylęknionymi oczami. Nie mogła zrozumieć dlaczego ciotka gniewa się, przecież chłopak nie zrobił nic złego.

— No, już idź... Antonio przyniesie ci ciepłej wody. Umyj się, musisz wyglądać ładnie.

Pokoik, w którym miała mieszkać, odgradzony był od innych drewnianymi ścianami, zbitymi z nieheblowanych desek. W ścianach pełno było szpar i dziur po sękach, przez które można było bez trudu obserwować co się dzieje u sąsiadów. Umeblowanie składało się z żelaznego łóżka, nakrytego borem kocem, stołka i umywalki z obtłuczoną miednicą. Pod umywalką stał wielki, niebieski nocnik.

Marcia, wciąż jeszcze zastrachana, usiadła na łóżku.

Pochodziła z głębokiego interioru Bahii, gdzie ojciec jej, robotnik rolny, pracował na plantacji trzciny cukrowej u bogatego fazendera. Powodziło mu się źle. Ledwo mógł wyżywić ośmioro drobnych dzieci i nie widział dla nich przyszłości. Toteż, gdy siostra, zamieszkała w dalekim Salwadorze, wysłała zaproszenie dla Marcii nie wahał się ani chwili. Ciotka Rosalinda, jedyna z całej rodziny, umiała sobie zapewnić

lepsy los. Uchodziła za osobę zamożną. Ojciec Marcii odwiedził ją przed laty i potem wielokrotnie opowiadał jakie to rozkosze widział u siostry.

— Powiadam wam, — mówił — ona ma w oknach prawdziwe firanki. I codziennie je bacalhau na obiad. A w niedzielę kładzie jedwabną suknię do kościoła.

— To już nieprawda — przeczyła z błyskiem zazdrości w oczach chuda, jak szczapa, matka Marcii. — Jedwabne suknie noszą tylko wielkie panie, jak na przykład, nasza dziedziczka.

— Chcesz może powiedzieć, że moja siostra nie jest wielką panią?

— Już ja bym nie chciała być taką panią co się dorobiła za młodu wycierając tyłkiem łóżka w hotelach.

Marcia przypomniała sobie te rozmowy, kończące się większą kłótnią, płaczem matki i przekleństwami ojca. Wokół, w pensjonacie ciotki Rosalindy, huczało, jak w ulu. Słychać było śpiew, dźwięki gitary, chichoty kobiet.

Marcia umyła się właśnie, gdy do pokoju weszła młoda dziewczyna. Miała na sobie przybrudzony, różowy szlafrok, we włosach pełno kolorowych wsuwek i w ogóle wyglądała jakby dopiero co się przebudziła, chociaż to już było dobrze po południu.

— Nazywam się Geraldina — powiedziała — i przysłała mnie twoja ciotka.

Oglądała Marcie bez żenady, jak ogląda się konfekcję lub bieliznę w sklepie.

— Masz zupełnie możliwą figurę i ładne nogi — stwierdziła. — Zaraz, pokaż-no!

Podniosła nagle Marcii sukienkę do góry. Marcia zaczerwieniła się i trzepnęła ją po rękę.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Usiadła na łóżku. Szlafrok rozsunał się, ukazując gołe, białe nogi.

— Zaraz widać, że jesteś prowincjałka. Ale to nic, przyzwyczaisz się niedługo do życia w mieście. Ach, są jeszcze, jak się okazuje, uczciwe dziewczyny! Zbliź się, mam cię uczesać i umalować. Nie obawiaj się. Co za dzikuska!

— Ale ja nie chcę!...

— Co to znowu za grymasy? Czy mam się poskarżyć ciotce? Siadaj tu w tej chwili na stołku! Pomyślałby kto, że chcę ją skrzywdzić.

Marcii zbierało się na płacz. Całą siłą woli powstrzymała się, żeby się nie rozbeczyć. Geraldina rozczesała jej włosy, spięła, pozostawiając grzywkę na czole, potem uróżowała policzki i pokarminowała wargi.

— No, teraz wyglądasz jak człowiek. Przejrzyj się w lustro. Przyniosę ci jeszcze sukienkę, bo w tym łachu, który nosisz, nie możesz się pokazać ludziom na oczy.

Marcia obejrzała ze zdziwieniem swoją twarz w lustrze. Wyglądała jak córka fazendera, Sarita, kiedy się wysztafirowała na przyjęcie gości lub miała jechać do kościoła. Bo na co dzień nawet senhorita Sarita nie używała różu i barwiczki.

— Zaraz pójdziesz na kolację. Poznasz tam eleganckie towarzystwo.

Ale towarzystwo nie było bynajmniej eleganckie. Kilka kobiet w tanich, wydekoltowanych sukniach i kilku mężczyzn bez marynarek i krawatów. Marcie posadzono koło wyso-

kiego Mulata, wulgarnie przystojnego o nieprzyjemnym, słodkim uśmiešku, blakającym się koło ust. Zauważyła, że pozostawał z ciotką w zażyłych stosunkach. Wymieniali pomiędzy sobą spojrzenia, czasem kilka słów, jak stare, rozumiejące się doskonale, stadło.

Po kolacji Marcia poszła zaraz do siebie i z rozkoszą zmyła z twarzy farbę. Zasypiała już, gdy uchyliły się drzwi i do pokoju wsunął się mężczyzna. Uniosła się na posłaniu i krzyknęła. Zamknął jej usta dłonią.

Nazajutrz nie poszła na śniadanie. Leżąc gryzła z rozpaczy poduszkę, mokrą od łez.

Ciotka Rosalinda sama jej przyniosła kawę do pokoju.

— Przestań płakać, moje dziecko - powiedziała. — Nie stało się nic strasznego. Masz już piętnaście lat. Każda z nas musi przez to przejść. Ja zaczęłam jeszcze wcześniej. A przy tym co za pięknego chłopaka miałaś!

Marcia nie odzywała się. Nie mogła się utulić z żalu.

— Napij się kawy. To ci dobrze robi. No, już, już!... Stało się i nie odstanie.

Około południa Marcia poczuła głód. Zjadła befszytk z fasolą i ryżem, skrapiając go obficie łzami. Wkrótce potem zjawiała się Geraldina i nie zważając na protesty uczesała ją i umalowała. Wieczorem zaś przyszedł po raz wtóry wysoki Mulat. Tym razem nie opierała się zbytnio.

Po tygodniu ciotka zaczęła jej przysyłać klientów. Po mału wciągała się w to życie. Ciotka Rosalinda była z niej zadowolona.

— Jesteś mądrą dziewczyną i jeżeli będziesz oszczędzać, jak ja, dojdiesz z czasem do majątku.

I kto wie czy by się te przepowiednie nie ziściły, gdyby Marcia nie zaczęła grubieć w pasie. Pierwsza zauważyła to Geraldina.

— Zdaje się — powiedziała, — że małej rośnie brzuch.

Ciotka Rosalinda przyjrzała się bacznie Marcii, pomacała ją nawet po brzuchu i stwierdziła z westchnieniem:

— Deus me livre! Trzeba się będzie wybrać do akuszerki i zrobić z tym porządek. Szykuj się, Marcia, jutro pójdziemy. To nawet wcale nie boli, nie bój się, dziewczyno.

Ale Marcia przeraziła się nie na żarty. Tegoż dnia przed wieczorem wybrała się na miasto. Miała trochę zaoszczędzonych pieniędzy, wsiadła do autobusu i pojechała do rodziców.

W domu rozplakała się. Matka też się popłakała. Ojciec pocholerował, wkrótce jednak pogodził się z losem. W interierze patrzył się na takie rzeczy przez palce.

W pół roku potem Marcia urodziła dziewczynkę. Podchowała trochę i obie z matką uradziły, że zostawi ją w domu, sama zaś pojedzie do Rio de Janeiro poszukać służby.

Szczęście jej sprzyjało, znalazła od razu robotę u bogatego wdowca senhora Urbana França Rosa, który już od dłuższego czasu żył z procentów od kapitału, poświęcając wolny czas na komponowanie sentymentalnych piosenek, które jednak nigdy nie doczekały się publicznego wykonania, ponieważ pan Urbano wciąż je przerabiał i uzupełniał. Człowiek był dobry i niewymagający. Jedna tylko rzecz przeszkadzała mu w życiu: od czasów studenckich cierpiał na wrzód dwunastnicy. Z tego powodu

Marcia przez dwanaście lat nie mogła go opuścić nawet na jeden dzień i przez dwanaście lat nie widziała córki.

Postanowiła wreszcie wziąć urlop. Pewnego razu poszła do pana, który, siedząc w salonie, próbował grać na fortepianie którąś ze swoich piosenek. Że jednak od początku coś mu się w niej nie podobało zaczynał ją niezliczoną ilość razy nigdy nie mogąc skończyć.

Marcia czekała dość długo zanim ją zauważył.

— O co ci chodzi?

Wyznała mu tedy, że ma córkę i że macumbeira, do której chodzi regularnie raz na miesiąc, kazała jej jechać do domu, ponieważ jakieś wielkie niebezpieczeństwo zagraża małej. Pan Urbano nie wierzył wprawdzie w makumbę powiedział jednak:

— Naturalnie, sam bym cię namówił, żebyś jechała. Dwanaście lat... Bój się Boga, dziewczyno, jak można tyle czasu nie widzieć własnego dziecka?

— Nie mogłam opuścić pana. Kto panu będzie gotował kiedy wyjadę? Cały czas będę o tym myślała.

— Nie martw się, Marcia, — powiedział pan Urbano i westchnął. — Na długo jedziesz?

— Na miesiąc.

Wróciła jednak wcześniej. Stanąwszy nieśmiało w progu zwróciła na swego pana czarne oczy, w których czał się smutek.

Pan Urbano przeraził się.

— Chcesz porzucić służbę?

— Nie, nie wiem tylko, czy zechce mnie pan trzymać, bo ja... przywiozłam córkę.

— Ach, tylko tyle? — westchnął pan Urbano, czując jak kamień stacza mu się z serca. — Gdzież ona jest?

— Czeki na ulicy.

— Przyprawdź ją tu zaraz. Myślę, że znajdzie się dla niej jakiś kąt w tym domu.

Marcia poczerwieniała z radości i nie dziękując wybiegła. Wkrótce przyprowadziła małą. Była to ładna, puciołowata dziewczynka, na imię miała Maria de Lurdes i wydawała się na oko roztępiłą i sprytną, o czym pan Urbano miał się wkrótce przekonać. Kiedy bowiem w kilka dni potem musiał oddać dolną protezę do technika dentystycznego i moczył bułkę w kawie Maria, która towarzyszyła temu obrzędowi, zauważyła:

— Dobrze wychowani panowie nie moczą bułki w kawie i nie wylawiają jej potem łyżeczką.

Pan Urbano nie pytał Marcii dlaczego zabrała małą do Rio de Janeiro, był bowiem z natury bardzo dyskretny. Ale powiedziała mu to sama. Rodzice postarali się, było im ciężko wychowywać Marię, oddali ją więc ciotce Rosalindzie. Ciotce Rosalindzie!... Kiedy Marcia dowiedziała się o tym mało nie oszalała. Na szczęście udało jej się wywabić dziewczynkę i porwać.

Pan Urbano był tym opowiadaniem niezmiernie wzruszony. W pewien czas potem udało mu się umieścić Marię w internacie szkoły zakonnej, gdzie rozpoczęła naukę od pierwszej klasy nie umiała bowiem czytać, ani pisać.

Zdawało się, że na tym zakończy się, jak w pięknej bajce, historia Marcii i jej córki, ale złe duchy makumby chciały inaczej.

Pewnego dnia Marcia ukazała się panu Urbano ze spuchniętym od płaczu nosem.

— Ach, proszę pana, — powiedziała — nie darmo moja macumbeira...

— Daj spokój z macumbeirą — przerwał ostro.

— Ale — westchnęła — pan nie wie co zaszło...

— Skądże mam wiedzieć?... Nie jestem przecież macumbeirą.

— Ciotka Rosalinda przysłała człowieka po Marię de Lurdes.

— Bezczelne żądanie! — zgniewał się pan Urbano. — I całkowicie bezpodstawne.

— Ale on ma ze sobą nakaz sądowy.

Pan Urbano wstrząsnął głową. Nic nie rozumiał.

— Gdzie jest ten człowiek?

— Siedzi w kuchni i jeżeli pan pozwoli...

— Oczywiście. Chcę zobaczyć dokument i samego wysłańca.

Człowiek zjawił się wkrótce. Był to nieduży, czarniawy chłopak o biegających niespokojnie oczach.

— Ja go znam, proszę pana, — powiedziała Marcia. — To Antonio, służy u mojej ciotki kilkanaście lat.

Chłopak od czasu, gdy Marcia przebywała w pensjonacie ciotki Rosalindy, zmężniał i wydorósł, ale nie pozbył się charakterystycznej służalczości. Ręce trzymał z tyłu, jakby obawiał się każdej chwili kopniaka w kuper.

— A więc, seu Antonio, pokaż ten papierek.

Tak, był to, rzeczywiście, formalny nakaz sądowy, na mocy którego niejaka Maria de Lurdes miała być wydana prawowitej matce, Rosalindzie dos Santos.

— Ale my tu mamy metrykę Marii, a z tej metryki wynika, że matką jej jest Marcia. Co ty na to, seu Antonio?

— Ja nie wiem — wybełkotał chłopak. — Pani Rosalinda kazała zabrać dziecko.

— Ten nakaz — powiedział senhor Urbano — oparty jest na fałszywych danych. Już ja się tym zajmę. Rosalinda powędruje do więzienia. A ty z nią razem.

Antonio wybałuszył oczy, nogi się pod nim ugięły.

— Ja, panie, jestem niewinny, ja tylko...

— Precz! — wrzasnął senhor Urbano i trzasnął pięścią w stół.

Chłopak zrobił w tył zwrot, wpadł do kuchni, chwilę szamotał się z zamkiem, otworzył wreszcie drzwi i nie korzystając z windy, choć to było dwunaste piętro, zbiegł po schodach na dół.

Oprzytomniał dopiero na ulicy. W głowie kołatała się myśl, że trzeba wracać do Salwadoru. Ale kiedy sobie wyobraził jak go przyjmie ciotka Rosalinda zimny pot wystąpił mu na czoło. Nie, za nic w świecie.

Pozostanie w Rio de Janeiro i poszuka pracy. I gdy to zdecydował zrobiło mu się lżej.

Zbigniew Stachowiak

Popołudnie w kręgu Lygii Fagundes Telles

Lygię, jako pisarkę poznałam poprzez stronicę jej "Histórias de Descontro", co w przybliżonym przekładzie mogło by oznaczać: "Opowiadania o chybionych spotkaniach", może "Rozbraty".

Osobiście dane mi było zetknąć się z nią pewnego odległego już "wieczoru, autografów" w popularnej księgarni Teixeira.

Zbliżyło nas dopiero "Lato w akwarium".

Pamiętam, że idąc do niej po raz pierwszy każdy krok wydawał mi się miłą, choć mieszkaliśmy w tej samej parafii. Lygia bowiem zawsze wywierała na mnie wrażenie dalekiej i zamkniętej w sobie toteż obawiałam się trochę owego przeniknięcia szklanej ściany, jaką zazwyczaj bywa chwila sztucznej atmosfery poprzedzającej wywiad.

Na szczęście kamienica, w której do niedawna mieszkała pisarka, nosi przypadkiem imię bohaterki jej pierwszej powieści: Virginia. Wirginia z "Kręgu kamiennych karłów ułatwiła mi wzajemny kontakt.

Wdzięki i gościnność Lygii, pani domu, sprawiły, że niespostrzeżenie znajdujemy się obie w "akwarium" jej domostwa, w którym poruszamy się żwawo i swobodnie, jak dwie pokrewne ryby, wprawdzie różnego wieku i rozmiaru ale tych samym wód.

Gawęda układa się sama.

— Sądząc z pokażnej liczby nowel, a jedynie — jak dotąd — dwóch powieści, można by wywnioskować, że o wiele łatwiej przychodzi pani przebieganie ścieżkami krótkich opowiadań, niż cierpliwe przemierzanie ciągłego toru powieści. Wszak rzadko się zdarza by pisarz z bożej łaski, świadomy swych możliwości, wybierał trudniejsze do przebycia szlaki twórczości. Raczej mierzy siły na zamiary.

Lygia Fagundes Telles zastanawia się chwilkę zanim uczciwie przyznaje:

— Tak jest. Nowela przychodzi mi o wiele łatwiej, bez szczególnego wysiłku, ale nasyciłam się już nią. Pragnę teraz wypuścić się na szersze wody. Piszę właśnie nową powieść. — Trzeci. Nie znaczy to jednak, że raz na zawsze porzuciłam opowiadania. Zupełnie możliwe, że za kilka dni powstanie w moich

myślach mała historyjka, którą zechcę się podzielić z czytelnikami, ale w rzeczywistości nastawiona jestem do napisania większej powieści.

Powiadam:

— Przypadł mi do gustu tytuł ostatniej. "Akwarium"... Dotąd za obraz literacki pojęcia odgroźnienia od świata zewnętrznego, uwięzienia, samotności przymusowej, służyła tradycyjna klatka. Pani wybrała akwarium, co mniej okrutnie symbolizuje niewolę. Może sprawia to brak dachu, łagodzący ideę izolacji o jeden wymiar, może sama roślinność w szklanym przejrzystym naczyniu. Dzięki wodzie i jej osobliwej florze i faunie jest bardziej malownicza i wibrująca. W sumie — więcej w niej życia.

Porównanie moje zdaje się podobać autorce tytułu. Słucha uważnie, z zaciekawieniem, jakby nie o nią samą chodziło w danej chwili, a o przypadkowo znaną jej zdolną pisarkę, której udało się zdobyć rozgłos już i poza Brazylią. Jest czytana — co rozumie się samo przez się — w Portugalii, poza tym we Włoszech, gdzie w pierwszym i drugim "Zbiorze najpiękniejszych noweli" figurują jej "Perły" oraz "Czereśnie". Wkrótce czytać ją będą w Polsce.

Natomiast, gdy zawadzam o nią samą, o Lygię - człowieka, Lygię-kobietę - kuli się raptem, miesza, wymiguje.

— Niewiele mogę o sobie samej powiedzieć — mówi w końcu skromnie — jestem wprawdzie produktem ciekawego skrzyżowania ras : jedna babka → Włoszka, druga Hiszpanka pochodzenia maurytańskiego. Nie licząc Indian i Portugalów w rodzinie.

— Pisać zaczęłam wcześniej, jeszcze w gimnazjum, ale w rzeczywistości byłam opóźniona w rozwoju...

Brzmi to, jak żart.

— Czyżby? — przerywam z niedowierzaniem.

— ... tak, że, mając lat piętnaście, rozumowałam, jak dziesięcioletnie dziecko. Nie znałam zupełnie życia ani nie interesowałam się nim. Wychowana z dala od większych ośrodków miejskich, w majątku ziemskim, na "fazendzie" dziadków, rosłam, jak roślina nie wymagająca szczególnej opieki. Doskonale jeździłam konno, piłkę kopałam, jak chłopak, pływałam, jak ryba. Od rówieśnic — stroniłam. Sukienki nie chciały "leżeć" na mojej mało dziewczęcej figurze. W wyniku zrodziły się kompleksy, a co za tym idzie — nieśmiałość, lęk przed ludźmi z miasta, przed ewentualnym szokiem w zetknięciu się z nieznanym otoczeniem. Z czasem i z wielkim trudem wyszłam z tego poprzez kontakt ze szkołą średnią, z uniwersytetem, później z trybunałem. Studiowałam prawo, jestem adwokatem — wyjaśnia.

Dziwi mnie to, co słyszę, bo od jej rówieśnic, byłych koleżanek z uczelni, wiem, że niepospolita uroda (co za nieskazitelny profil) i ujmujący wdzięk przy całej pozornej wyniosłości, wielokrotnie pasowały ją na "królową studentek", z trudnością opędzającą się od hołdów kolegów.

Ale już nie przerywam jej opowiadania. Zbyt ją rozumiem, gdy z powagą a nawet z pewną melancholią mówi o swej "odrębności"!

— Stąd owe kręgi, które zatacza pani wokół swych bohaterów, Lygio: samotność, tęsknota, bezkresna nuda. Poza tym

niezgodność charakterów, lęk przed czymś, co się musi stać. Owe rozbraty, nieudane spotkania...

Kobiety Lygii Fagundes Telles są przeważnie istotami, jeżeli nie całkowicie zdruzgotanymi, to gorzko rozczarowanymi i niezadowolonymi. "Mal aimées", jak powiadają Francuzi.

— Polacy również mają ciekawe określenie — mówię, pragnąc wprowadzić nieco lżejszą nutę do naszego dialogu — wprowadźcie mniej subtelne i poetyczne, ale za to o wiele ściślej oddające obraz prawdziwej bolączki, która trapi pani bohaterki, Lygio. Mówią o nich, że są po prostu — "niedopieszczone"...

Po moim dość plastycznym wyjaśnieniu sensu przymiotnika, który w rzeczywistości nie wywalczył sobie jeszcze pozycji w słowniku polskim, Lygia śmieje się ubawiona.

Stara się odnaleźć odpowiednik w swoim języku, ale daremnie.

— Niech się pani nie trudzi — powiadam — portugalski jest przecież bezpośrednią spuścizną łaciny, zwartej, konkretnej, bezlitośnie pozytywnej. Języki słowiańskie odznaczają się o wiele większą subtelnością w wyczuwaniu owych licznych i różnorodnych odcieni niedostrzegalnych dla latynia.

— A język francuski? — odpięra pisarka.

— Uformował się pod ogromnym wpływem nielatyńskich sąsiadów.

— To prawda — przyznaje Lygia i po chwili wzdycha.

— Musi być piękny wasz język miłości...

— Piękny — potwierdzam z emfazą — ale, jak istnieje bogata, rozległa skala tonów miłości i tkliwości, tak i kląć można we wszystkich tonacjach!

Lygia śmieje się znów swym krótkim, przytłumionym śmiechem ale wnet powraca do swych "złe kochanych". Komentujemy ich charaktery, sposób życia, niepokoję, zagadnienia, jak by chodziło o nasze kumy, sąsiadki mieszkające "next door" czy o piętro wyżej.

Pisarka ze szczególnym pietyzmem mówi o Wirginii, swej literackiej pierworodnej. Mnie ciekawi bardziej Raiza z Akwariów. Podobnie, jak Inocência Alfreda de Taunay, jak Capitú Machado de Assis, Raiza uosabia przekorę, bunt wobec uświęconych przez instytucję rodziny patriarchalnej oraz społeczeństwa kanonów krępujących niezależność kobiety w wyborze towarzysza czy organizacji życia osobistego.

Wszystkie trzy duszą się w swym kręgu. Oczywiście, że Raiza jest z nich najswobodniejsza, bo na szczęście żyje wśród nas, w wieku przełomowych zmian i powolnego dotąd postępu w emancypacji kobiety brazylijskiej. A więc nie ma ona potrzeby poddawania się wewnętrznym rozpaczliwym szamotaniom małej, naiwnej Inocencji, wegetującej na dalekiej fazendzie, okrutnie strzeżonej przez karia-zausznika surowego ojca, której jedynie śmierć przynosi wyzwolenie; ani nie musi Raiza uciekać się do hipokryzji i zręcznej dyplomacji w stosunku do męża przewrotnej i sprytniej Capitú, zmuszonej do liczenia się z cenzurą towarzyską Rio de Janeiro.

Reszta, popołudnia w kręgu Lygii Fagundes Telles schodzi na gawędzie natury bardziej osobistej i na popijaniu cafezinho. Znad filizanczki obserwuję ją ukradkiem. W ruchach jej smagłych dłoni, w dalekim spojrzeniu ciemnych sarnich oczu, w przyczajonym smutku w kącikach ust odgaduję rzeczywistą istotę jej odrębności, tego pociągu do niesamowitości, makabry, "suspense", tak charakterystycznego dla ludzi beznadziejnie samotnych.

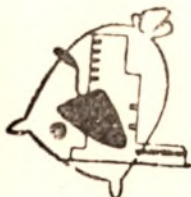
Samotnych w sobie, bo przyjaciół, czytelników i słuchaczy, wielbicieli jej talentu, pracy rzetelnej i wydajnej nie brak Lygii. Należy ona bowiem do tych rzadkich pisarek brazylijskich, do których się stale powraca. W przenośni i dosłownie. Kto ją poznał, nie może już wymazać jej z pocztu swych pisarzy i przyjaciół, do której drzwi stuka się cichutko, z pewną obawą, by nie ułupać szklanych ścian akwariów, w którym przechodzi jej własne lato. A jednak gdy myślę o Lygii, wystarczy mi przymknąć oczy by widzieć ową wciąż jeszcze niepojętą, wciąż czekającą dziewczynę, kroczącą niestrudzenie długą drogą ku nowemu — może tym razem udanemu — spotkaniu...

Mira Carla

Casa Franca

PEDRALIT REVESTIMENTOS LTDA.

ESC.: R. Barão de Itapetininga, 124 - 6.º. Tels.: 36-6734 e 36-0750 — FABRICA: Rua Amaro Cavalheiro, 381 (Pinheiros) - Tel. 8-1189 — SÃO PAULO.



REVESTIMENTOS EM GRANILITE
DECORAÇÕES EM GESSO
MASSAS PARA REBOCO
ARTEFATOS DE CIMENTO
ARTEFATOS DE GRANILITE
LADRILHOS

Książki, książki

Kufer na plecach

Od r. 1960 Kazimierz Wierzyński nie odzywał się, nie licząc nielicznych utworów rozsianych po czasopiśmie. Przeglądam jego ostatnią książkę 1) w poszukiwaniu tego nowego, co nazywamy zmianą oblicza pisarza.

Czy Wierzyński zmienił się? Jest w dalszym ciągu liryczno-elegijny, zapatrzony w głąb swego serca, tak bardzo spragnionego miłości. Tylko mniej w nim teraz optymizmu, "nie kwitną mu już fiołki w głowie". Uczucie przemijania zabarwia strofy ciemniejszymi farbami. Gdy ktoś przestaje wierzyć w sens życia, gdy mówi o grabarzach i śmierci nie ze smutkiem i rozpaczą, ale z rezygnacją to daje nam¹ to obraz tego co zwykliśmy nazywać upragnionym widzeniem kresu.

"Życie?

Nie mówmy o tym.

Wiadomo: "opowiadanie idioty".

I zgoda na wszystko beczynna".

Nie ma nadziei, radości, wizji jasnej przyszłości. Zostały
łzy.

"Łzy, wiadomo, rzecz wstydliva,

Nie męska.

Tak.

Ale do czasu,

Gdy nie ma już nic

Gdy nie ma już nic

Tylko płacz".

Albo:

"Puste, otwarte okno

Przerażenia.

Puste mieszkanie

Otwarte na przestrzał.

Trwoga istnienia".

Można by te motywy powtarzać w nieskończoność. Są tam pociągi wiozące poetę daleko, choć nie rusza się z miejsca, pędzące wraz nim w ciemną pustkę, zatracenie i niedoczekanie. Są domy, w których nikt nie mieszkał, do których ktoś dzwonił, ale mu drzwi nie otworzono i poecie wydaje się w końcu, że sam dzwonił do siebie.

“Że sam się wygnałem
Z przeszłości, młodości, miłości, ,
Odszedłem z niczem”.

Rozpamiętywanie minionej młodości, przestachu, przed czym? Przed zmarnowanymi dniami, kiedy pozostaje już tylko jedno pocieszenie — szklanka wina.

A obok tego tam, gdzie poeta opuszcza na chwilę swoją więź z kości słoniowej i zbliża się do przyrody powstają wiersze pełne prostoty, przypominające “Wiosnę i wino”.

“Mówicie: wiosna,
A ileż to pracy
Muszą wykonać lasy!
Zapiszcie mnie w słoju dębowym
Pomiędzy stare i nowe
Niewyczerpane czasy”.
Albo:
‘Połóżcie się tylko na ziemi,
Najbliżej dna, najbliżej korzeni,
Zobaczycie jaka to wódka,
Jaka czysta i
Jaka głęboka”.

Po utracie Ojczyzny poeta nie może sobie znaleźć miejsca na ziemi. Trawi go tęsknota. Stąd też tytuł zbioru: “Kufier na plecach”.

“Psie wycie za moją ziemią karpacką,
Spazm, do którego wstyd mi się przyznać —
I przeprowadzka za przeprowadzką,
Z Ameryki do Europy,
Z Europy do Ameryki,
Kufier na plecach,
Schodzone stopy,
Ojczyzna”.

Książka, jak zwykle schludnie wydana, do czego zdążyliśmy się już przyzwyczaić w edycjach “Kultury”.

Zbigniew Stachowiak

1) Kazimierz Wierzyński. Kufier na plecach. Instytut Literacki, Paryż, 1964, str. 58.

IM DALEJ W LAS

Nowy zbiór wierszy Mariana Hemara, ubogi 1) graficznie, urzeka czarem swej treści, jak w teatrze Szekspira za jego życia, kiedy grało się bez dekoracji i do ucha widza dochodziło jedynie misterne słowo, (nota bene w tomie znajduje się sześć prześlicznie przetłumaczonych wierszy Szekspira).

Twierdzi się, że Hemar to satyryk. Prawda, bo i w tej książce nie zbrakło wierszy satyrycznych. Ale Hemar jest także wybornym lirykiem, zwłaszcza, gdy pisze o Kraju, o ukochanym Lwowie.

Bo Lwów dla Hemara to nie tylko miasto dzieciństwa i młodości, to ucieleśnienie Ojczyzny.

„Może mój wiersz co niektóry,

Może mój wiersz co dziesiąty

Odnajdzie drogę do Lwowa

Odszuka znajome kąty

Nie zmienione w pamięci.

I wszystkie je pozdrowi

I ode mnie do kolan

Ukloni się Lwowowi”.

Pisząc ten wiersz niedługo po ukończeniu sześćdziesięciu lat poeta pyta:

Jeśli czego żałuję.

Jeśli się o co boję

Czy mi wystarczy czasu

By ujrzeć znów miasto moje?”

Tak, ta książka jest przede wszystkim o Lwowie. A ponadto o polach, lasach i ludziach milej Ojczyzny, o przyjaciółach, którzy pomarli lub rozproszeni po świecie mieszkają samotnie.

Jest to też książka wspomnień:

„W południe, w trzech szliśmy w Alejach — Antoni

Słonimski, Staś Baliński i ja

..... Wkoło nas ogrody

Pachniały jak bukiety dojrzałej zieleni,

Nie poplamionej jeszcze rdzą bliskiej jesieni.

A w oknach kwiaty — jakby na barwnych rabatach,

Bo pan Starzyński marzył o Warszawie w kwiatkach”.

Wielbiciele Hemara znajdą w nowym zbiorze poety wiele niezapomnianych kart.

Zbigniew Stachowiak

1) Marian Hemar. Im dalej w las. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1963, str. 158.

Prawie dookoła świata

1. Czy podróże kształcą?

Jest takie powiedzenie, że podróże kształcą. Jeżeli przez kształcenie rozumieć rozszerzanie pojęć i horyzontów myślowych to, niewątpliwie, powiedzenie to powinno być słuszne. Przy obecnej — można powiedzieć — manii podróżowania można by więc oczekiwać, że rozszerzanie horyzontów myślowych dziś już milionów podróżujących pociągnie za sobą lepsze zrozumienie wzajemnych stosunków między narodami i zmniejszy napięcia, wynikające przede wszystkim z partykularyzmu.

Tymczasem, jeżeli obserwuje się zmiany w stosunkach społecznych i w polityce międzynarodowej to są to ostatnio raczej zmiany na niekorzyść, wzrost konfliktów nie zaś ich zmniejszenie, wzrost, przy którym ostateczny konflikt na wielką skalę wydaje się ciągle możliwy.

Albo więc powyższe powiedzenie jest niesłuszne, albo wciąż jeszcze podróżujemy za mało. Stąd też wydało mi się rzeczą pożyteczną skreślić te zapiski o podróżowaniu w czasach obecnych.

Oczywiście, zawsze istnieli ludzie o żyłce podróżniczej. Gdyby ich nie była ludzkość dziś jeszcze znajdowała by się, prawdopodobnie, w epoce kamiennej. Ale możliwości podróżowania zmieniały się wraz z doskonaleniem środków transportu przede wszystkim, ale nie wyłącznie. Drugi, nie mniej ważny czynnik, stanowi stopień zamożności społeczeństw i ich poszczególnych warstw.

Pomijając starożytność i wieki średnie również w czasach nowożytnych możliwość podróżowania dla przyjemności, gdy rozstawnymi końmi pocztowymi jechało się tygodniami z jednej stolicy europejskiej do drugiej, była przywilejem wyłącznym ludzi bardzo bogatych. Dopiero wynalazek i rozpowszechnienie się kolei żelaznych spowodowały zmiany w przekroju społecznym podróżujących; ale nadal mogli podróżować, zwłaszcza poza granicami kraju, tylko bogaci.

Przełom ten nie potwierdził nota bene maksymy o podróżach, które kształcą. Ilość podróżujących i wzajemnych kontaktów między przedstawicielami różnych narodów po wynalezieniu kolei zwiększyły się, ale stosunki międzynarodowe pozostały nadal pod przemożnym panowaniem prawa dżungli.

Obecnie przeżywamy nowy skok w przód pod tym względem w związku z dalszym udoskonaleniem środków transportu i wzrostem dobrobytu w niektórych społeczeństwach. W Europie Zachodniej np. podróżuje dziś nie tylko cała klasa średnia, ale i robotnicza.

Rozwój środków komunikacji i wynalazek radia muszą spowodować korzystną zmianę w warunkach bytu ludzkości, choć ta zmiana może być tak powolna, że niedostrzegalna na przestrzeni jednej generacji.

A do odrobienia w stosunkach międzyludzkich nagromadziło się w ciągu ostatnich głupich 10.000 lat, mgnieniu oka w porównaniu z czterema miliardami lat, odkąd ziemia istnieje, bardzo wiele. Nagromadził się ów partykularyzm, albo jeżeli kto woli: zaściankowość, albo parafianščczyzna, zjawisko ograniczenia horyzontów myślowych, sprawiające, że ludzie z parafii A uważają, iż są lepsi od ludzi z parafii B. Pojęcia takie i uprzedzenia przechodzą z pokolenia na pokolenie, raczej wzmacniając się niż słabnąc w pewnych okresach.

W odleglejszych epokach temu partykularyzmowi sprzyjały warunki istnienia poszczególnych grup ludzkich i brak wzajemnych kontaktów, spowodowanych właśnie trudnościami podróżowania. W dwóch dolinach, oddzielonych łańcuchem górskim, mogły powstać odmienne społeczności, różniące się pojęciami etycznymi, religijnymi, a nawet językiem. I wreszcie nie potrzeba było do tego gór — wystarczyły puszcze i bagna. W ten sposób w dawnej kolonii brytyjskiej, Północnej Rodezji, która niezadługo stanie się niepodległą republiką murzyńską, Zambia, około jednomilionowa ludność jeszcze w czasie ostatniej wojny mówiła pięćdziesięcioma kilkoma dialektami. Wszystkie te dialekty pochodziły z jednego pnia: języka Bantu, ale nawet pod względem administracyjnym istniały tam cztery urzędowe, zupełnie odrębne języki, różniące się między sobą tyle co najmniej ile języki słowiańskie.

Stwarzało to, oczywiście, duże trudności dla administracji brytyjskiej, z którymi radzono sobie m. in. w ten sposób, że murzyński personel administracyjny otrzymywał dodatek pieniężny do pensji za znajomość każdego języka, czy dialektu. Przy znanej zdolności Murzynów do języków (w Polsce, jak mi mówiono, znane są wypadki opanowania w doskonałym stopniu języka polskiego w ciągu sześciu miesięcy przez studentów murzyńskich) istnieli tacy urzędnicy murzyńscy, którzy znali kilkanaście dialektów.

Brak wspólnego języka jest, naturalnie, największą przeszkodą w stosunkach międzyludzkich, znacznie większą, niż różnice religijne lub obyczajowe. Stąd od dawna próbowano stworzyć język międzynarodowy. Z prób tych największą karierę zrobiło Esperanto, ale nadzieje w nim pokładane nie spełniły się jak dotąd na skutek, być może, małej wagi, którą rządy państw przywiązują do zagadnienia języka międzynarodowego.

Właśnie w Afryce przy mieszaninie języków lokalnych i kilkunastu językach kolonizatorów europejskich potrzeba wspól-

nego języka istniała i istnieje. Wytworzyły się tam dwa "esperanta", w Kongo i na północy uproszczony język Swahili, a na południu t. zw. Kitchen Kaffir, oparty głównie na języku Zulu. Widać na nich, że spełniając rolę środka porozumiewawczego pomiędzy kolonizatorami, a służbą głównie (Kitchen Kaffir — kuchenny Murzyn) nie mogą pretendować do właściwej roli, jakiej się oczekuje od języka. I dlatego, słusznie moim zdaniem te "esperanta" są zwalczane przez nowopowstającą inteligencję murzyńską.

Nawiasem można zaznaczyć, że wbrew temu, co możnaby oczekiwać przy stopniu cywilizacji i kultury, do której doszła samoistnie rasa murzyńska, właściwe języki Bantu są równie rozwinięte, jak języki europejskie. Mają zadziwiająco rozwiniętą gramatykę, nie gorzej, niż języki słowiańskie, a ile zwykłej mądrości ludzkiej mieści się w ich przypowieściach i przysłowkach!

Ale czy wspólny język zabezpiecza przed różniczkowaniem się społeczeństw na poszczególne grupy, wzajemnie sobie obojętne lub wrogie? Napewno nie. Abstrahując od różnic materialnych nawet na tym samym poziomie materialnym mogą powstawać partykularne zainteresowania i uprzedzenia. Klasyczny przykład dają nam pod tym względem stosunki polskie. Polska, jak wiadomo, posiadała odrębną kastę t. zw. szlachty zaściankowej, posiadającej przywileje szlacheckie, ale uprawiającej własnoręcznie rolę i na ogół klepiącej biedę. Ale ludzie ci uważali się za lepszych od chłopów i uprzedzenia te trwają do dziś dnia. W r. 1958 prasa krajowa podawała reportaże z pow. sokołowskiego, które czyta się ze zdumieniem, tym bardziej, że w innych okolicach szlacheckich proces zaniku zaścianków nastąpił już w czasach przedwojennych. Jeżeli odliczyć coś na sensację dziennikarską to jednak te reportaże są niezwykle. Szlachta zaściankowa w pow. sokołowskim nie żeni się z chłopkami; dzieci z zaścianka chodzą do szkoły cztery kilometry, choć mają inną szkołę pod bokiem, ale to szkoła "chłopska"; dziewczyny, pielęgnujące w polu w rękawiczkach, to szlachcianki itd. Widać, że i wiek podróŜowania nie pomaga na partykularyzm w wielu wypadkach, ale jest to kwestia wymarcia jednego pokolenia. Następne będą już inne. Mniej jeszcze, niż sto lat temu dziecko, które chciało się dostać do gimnazjum w zaborze rosyjskim, musiało wykazać się szlachectwem. Rzecz, która dzisiejszej młodzieży wydaje się nie do wiary!

Jedna sprawa, wynikająca z rozwoju środków komunikacji, jest pewna: proces tworzenia się oddzielnych, izolowanych grup narodowych i powstawania nowych języków został, niewątpliwie, zahamowany i obecnie można oczekiwać odwrotnego procesu.

Proces ten będzie prowadził do zmniejszania barier między narodami, zacierania antagonizmów narodowych, rozpowszechniania pewnych języków — jednym słowem, do jakiejś społeczności ogólnosiwiatowej, kto wie czy nawet — nie do jednej rasy ludzkiej. Popęd picinowy jest przecież silniejszy, niż względy narodowe, czy rasowe — małżeństwa mieszane są najwymowniejszym tego dowodem. Sprawy te to zresztą projekty na bardzo odległą przyszłość. Choć twierdzi się, że ludzkość osiągnęła obecnie w ciągu stu lat więcej zdobyczy na polu społecznym, niż

przez poprzednie 2.000 lat to jednak zmiany, o których mówimy wyżej, mogą się przenosić z pokolenia na pokolenie tylko w małym stopniu, mogą się wykazać dopiero po kilkuset pokoleniach, a więc po tysiącach lat.

Ktoś może powiedzieć, że niewiele go obchodzi jak ludzkość będzie wyglądała w tak odległej przyszłości. Nie jest to zupełnie słuszne: gdyby tak rozumować można by dojść do wniosku, że właściwie nic nas nie powinno obchodzić co się stanie w następnych dwóch pokoleniach, ponieważ nie będzie nas już wówczas. Ale przypuśćmy, że ograniczamy się do programu na najbliższe dwa lub trzy pokolenia. I wtedy w interesie ludzkości leży, aby proces porozumienia pomiędzy narodami zachodził jak najprędzej.

Nie można, oczywiście, negować szlachetności uczuć narodowych, nabywanych głównie w młodości i przez wychowanie w pewnym środowisku. Ale partykularyzm prowadzi do nacjonalizmu, wynoszenia się ponad inne narody, wbijania sobie w głowę, że się jest lepszym od innych, a stąd już tylko jeden krok do apoteozy podboju, rozboju i gwałtu, rozszerzania stanu posiadania swego narodu przez wynaradawianie innych.

Nacjonalizm istnieje wszędzie. Nie była od nich wolna również Polska międzywojenna. Nasz stosunek do mniejszości narodowych przedstawiał wiele do życzenia z punktu widzenia prawa każdej grupy narodowej do własnego pełnego życia kulturalnego, jeśli już nie politycznego.

Obecna epoka masowych podróży powinna więc przez osobiste kontakty stępić ostrze szowinizmów narodowych, gdyż człowiek, który dużo podróżuje, musi dojść do przekonania, że inne narody mogą być pod pewnymi względami gorsze, ale pod innymi — lepsze od własnego i że pycha narodowa jest równie bezzasadna jak pycha jednostek, której zresztą u jednostek nikt nie uważa za cnotę, a raczej za grzech.

Demokratyzacja podróżowania sprawiła, że obserwacje takie mogą robić nie pojedynczy ludzie, a dosłownie miliony. Liczba turystów odwiedzających np. Włochy przekracza 14 milionów rocznie. Stanowi to wynik obniżenia kosztów podróży, z jednej strony motoryzacji, a z drugiej organizowania masowych wycieczek. Udział w wycieczkach nie jest najprzyjemniejszym sposobem podróżowania. Mimo woli przychodzi na myśl stado owiec idących za pasterzem. Ale dla ludzi nie znających jednego z najbardziej rozpowszechnionych języków — jest nim obecnie bezsprzecznie angielski — i chcących zawrzeć budżet podróży w z góry określonej kwocie, udział w wycieczkach pozostaje najodpowiedniejszym sposobem podróżowania.

System ten jest specjalnie rozpowszechniony w krajach socjalistycznych z przytoczonych wyżej i innych powodów jak: trudności związane z otrzymaniem indywidualnego paszportu zagranicznego, słabo rozwinięta motoryzacja itd. Najwięcej w Polsce jeździ się do innych krajów socjalistycznych. Koszt takiej wycieczki zaczyna się od równowartości około dwumiesięcznej pensji. Dla osób nie obarczonych rodziną lub zarabiających wyżej, niż średnio udział w takich wycieczkach nie stanowi specjalnego problemu. Wycieczki do krajów zachodnich są zwykle droższe i udział w nich utrudniony. Tym nie mniej są one, jak wiadomo, najlepszym sposobem do tzw. wybierania wolności. To, że wszyscy odłączający się od wycieczek są uchodźcami politycznymi stanowi, oczywiście, dziecinną bajkę. Jest to po pro-

stu sposób emigrowania bez opowiadania się i bez formalności. Emigracja ta, jak każda inna, jest poszukiwaniem lepszych warunków bytu. Nie mówimy tu, rzecz jasna, o emigracji naprawdę i ściśle politycznej, przy której warunki bytu ulegają pogorszeniu.

Z tego co się słyszy o tych wycieczkach w Polsce najbardziej uderzający jest fakt, jak wielu ludzi w kraju ma wyrobione instynkty handlowe. I to przeważnie ludzie młodzi, wychowani w systemie socjalistycznym, którzy nie uczyli się handlowania w czasie okupacji niemieckiej. Stanowi to jeden z najbardziej uderzających paradoksów systemu socjalistycznego — zamiast powodować zanik inicjatywy prywatnej w handlu i w drobnym przemyśle jeszcze ją wbrew swojej woli w licznych wypadkach rozwija.

Opowiadano mi, że w czasie wycieczki do Pragi czeskiej zjechało przed hotel kilka autobusów, aby uczestnicy tej wycieczki mogli zwiedzić zabytki i muzea. Tylko parę osób skorzystało z tego udogodnienia. Resztę wołała sprzedawać i kupować, niż zajmować się zwiedzaniem. W Leningradzie uczestnicy wycieczki ofiarowali z chodnika koszule przechodniom, zachwalając towar, jak zawodowi domokrażcy.

Spryt polega na tym, żeby wiedzieć czego akurat brak w danym kraju socjalistycznym. Że czegoś brak to pewnik, ale to się przecież zmienia, a nie istnieje jeszcze służba informacyjna, gdzie można by takie wiadomości otrzymać. Fakt, że niektórzy wycieczkowicze nie tylko pokrywają koszty podróży, ale i wykazują zysk netto: stanowi to zresztą nawiązywanie do tradycji podróżników średniowiecza. Czy Marco Polo, czy nawet Krzysztof Kolumb łączyli przyjemne z pożytecznym, zwiedzanie świata z korzyściami handlowymi.

Nie ma potrzeby opisywać wycieczek w krajach Zachodu: człowiek zgłasza się, płaci gotówką lub na raty i oddaje się w ręce agencji turystycznej i przewodników.

Natomiast podróżowanie indywidualne ma rozmaite aspekty, których znajomość pozwala podróżować taniej i wygodniej. Zdarzyło mi się kiedyś, że pewien dziennikarz emigracyjny w Londynie radził, żebym napisał podręcznik o tanim sposobie podróżowania. Byłaby to zapewne przesada, ale artykuł na ten specjalny temat może zainteresuje czytelników.

(D. c. n.)

A. GAWAR

HISZPANIA

(Z cyklu, "Wielka Podróż": etap: Morze Śródziemne)

W poniedziałek 28-go stycznia, o godzinie 2-giej po południu, małym statkiem, wyjechaliśmy z portu tangerskiego do Gibraltaru. Wprawdzie można stąd bezpośrednio popłynąć do Hiszpanii, ale statki kursują bardzo nieregularnie i nikt nie wie, czy który popłynie do portu hiszpańskiego, czy też nie. Zwykle w ostatniej chwili można się o tym w agencji dowiedzieć, ale co tu począć z bagażem, który musi być dostawiony do portu i pokazany władzom celnym marokańskim? By uniknąć skomplikowań, postanowiłem pojechać do Gibraltaru, a stamtąd autobusem dostać się na stronę hiszpańską.

Woda w cieśninie mocno wzburzona. Statkiem rzuca na wszystkie strony, jak piłką.

Jedzie ze mną student, który przyjechał do Tangeru na weekend. Pracuje w angielskich liniach lotniczych, więc przelot ma za darmo. Studiuje na uniwersytecie londyńskim, oczywiście, wieczorami. Dziwnie przystojny typ: ojciec Marokańczyk, ożeniony z Indianką. Chłopak ma rysy fizyczne obu rodziców. Skarży się, że w Kasbah, własni ziomkowie go okradli. Nie dziwię się temu. W Kasbah trzeba kraść, żeby żyć. Większej biedy niż tam, nie widziałem na świecie.

Mocno spóźnieni, dopływamy do Gibraltaru. Tu żegnam mego miłego towarzysza podróży, gdyż odlatuje z lotniska wprost do Londynu; ja zaś autobusem jadę do miasteczka granicznego, ale już po stronie hiszpańskiej, La Línea. Cała masa robotników-Hiszpanów wraca z pracy z Gibraltaru. Autobusy nie mogą pomieścić pasażerów. A tu ja z ciężkim bagażem. Nie można się z nikim porozumieć po angielsku, bo nikt tego języka nie zna; a dziwne, bo wszyscy ci co jadą, pracują w angielskim Gibraltarze.

Granica. Masa ludzi tłoczy się koło okienek komory celnej. Pokazuję paszport. Zatrzymują mnie i każą czekać; "każą" na migi, bo nikt tu nie rozumie po angielsku. Muszę otwierać bagaż. Patrzą na mnie nieufnie, nawet podejrzliwie. Pozwalają wreszcie jechać dalej. Trudno się dostać z powrotem do autobusu, a gdy się wreszcie do niego z bagażem dowlokłem, konduktor pyta i pokazuje mi na migi, że autobus do Algecires (miejsцина do której chcę jechać), znajduje się w odległości około pół kilometra. Więc wlokę bagaż, jak tylko mogę i klnę po cichu, głośno kląć nie można, bo to przecież kraj policyjny,

mocno policyjny. W autobusie znów nie mogę się z nikim dogadać; na dłoni podaje wszystkie drobne jakie mam i każe konduktorowi wziąć, ile się należy za przejazd. Nie wiedziałbym, gdzie nawet wysiąść, ale w ostatniej chwili, sąsiad, który dotychczas milczał, widząc mój niepokój, odezwał się do mnie piękną angielszczyzną i mówi, że powie, gdzie mam wysiąść. Sam jedzie do tej samej miejscowości. Jest Anglikiem. Pracuje w Gibraltarze, a mieszka po stronie hiszpańskiej, bo tam taniej.

Jestem w Algecires. Ciemno. Nie wiem, gdzie tu jaki hotel. Na szczęście zaczepia mnie jakiś chłopak i mówi, że zaprowadzi do hotelu. Bierze moją ciężką walizę i aż się dziwię, jak taka marnota może ją unieść; a on maszeruje o wiele szybciej niż ja.

Doprowadził mnie do hotelu Madryt. Nazwa szumna, ale sam hotel, to jakaś stara, chyba średniowieczne czasy pamiętająca rudera. Muszę się tu jednak zatrzymać, bo gdzie się tłuc po nocy i to nie znając języka.

Na drugi dzień przenoszę się do pensjonatu, którego właściciel jest pewno Żydem amerykańskim, choć się do tego nie przyznaje.

Pensjonat nowy i dość wygodny. Nie ma tylko żadnego ogrzewania, a zima tegoroczna jest tak sroga, że daje się ją odczuć i tu, na zwykle ciepłym w tym czasie wybrzeżu śródziemnomorskim. Są tu trzy większe hotele, prócz kilku pensjonatów, ale wszystko zajęte przez amerykańskich turystów. Pensjonat kosztuje mnie sto pesetów dziennie; ładny pokój z dwoma posilkami, co wynosi jakieś półtora dolara; czyli pół darmo, jak na stosunki amerykańskie.

Drugą, szalenie tanią rzeczą w Hiszpanii są napoje alkoholowe. Butelka dobrego angielskiego whisky kosztuje niecałe dwa dolary; butelka benedyktyna, dolara. Można więc pić prawie że za darmo, oczywiście, jeśli to kto lubi. Ja wolę delektować się tutejszymi, pięknymi widokami, a wieczorem na rozgrzewkę, przed pójściem spać, wypijam ze smakiem kieliszek dobrego likieru. I już wtedy mnie marmurowe posadzki nie ziębią.

Jest trzydziesty stycznia. Piękny dzień. Zwiedzam miasto i jego okolice.

Jest to właściwie miejscowość półleńskowa. Mały port, w nim tysiące łódek. Są i dwa niewielkie okręty wojenne; stąd tylu marynarzy spragnionych wódki i kobiet kręci się po ulicach. Jest tu i stały garnizon wojskowy, boć to przecie pogranicze. Tak marynarze, jak i żołnierze nie przedstawiają się nadzwyczajnie. Ubrani chyba najgorzej; może tylko lepiej od wojska tureckiego. Gęby też nieszczególne. Jest to materiał przeważnie rekrutujący się z wiosek i gór. Są zdrowi i pełni życia, ale niedożywieni i źle ubrani. Nie mają nawet płaszczy zimowych.

Siedzę przy szklance kawy i francuskiego likieru na otwartej werandzie miejscowej kafejki. Jest ona na wzgórzu i pode mną widzę zatokę. Pomalowane na różne kolory przyczepione

do brzegu małe łódki wyglądają jako gromada przekepek, przybranych w różno-kolorowe chustki; przykucnęły przy brzegu i jakby się naradzały, jak coś na życie utargować.

Woda zatoki przecięta molem. Wygląda ono jak barwna wstążka, którą się port opasał. Za molo modre wody widnią się i szklą jak wielkie lustro, w którym przegląda się ciepłe słońko. W głębi piętrzy się ogromna skała-forteca Gibraltar. W dole, na pasie wyrwanym wodzie, mieści się wąskie, ale bardzo ruchliwe lotnisko; w tyle, z lewej strony baza morska z licznymi okrętami wojennymi. Jeszcze więcej w tyle, górki i nierówno pofalowane wybrzeże hiszpańskie.

Cisza tu panuje wielka. Tylko te, różnobarwnie pomalowane łódki kiwają się bezszelestnie na gładkiej wodzie, i to, bezkresne, wysoko zawieszone w przestworzach modre i jakże czyste niebo. A między niebem a ziemią, zawieszone w powietrzu sino-białe mewy; mewy te nadmorskie, wodne pokutnice. Z tyłu za mną góry; gołe, pobrażne góry.

Gdyby tak trochę kapitału; coby to można było zrobić z tej, zaniedbanej, a jednak tak pięknie położonej miejscowości! Natura dała jej wszystko; wyposażyla nie tylko w piękne, modre niebo i modre wody; góry i łagodne wybrzeże; ba, dała ten łagodny klimat, wabiący swym ciepłym i czystym powietrzem. Rąk roboczych do pracy też nie brakuje; tylko ten kapitał.

Na wszystkich pobliskich murach napisy: Viva Espanola; Viva patria; a nade wszystko, czerwonymi, większymi od tamtych literami: Viva Franco!

Parę pięknych will ukryło się w ogrodach; pochowało się pomiędzy tropikalnymi krzewami i palmami. Za to te małe, odrapane, i podskubane biedne domki, wystawione na wichury i wilgoć morską, nie mają się przed żywiołami osłonić; bo ich na tę osłonę nie stać. Stoją więc nad wodą jak straszdyła; jeśli kogo potrafią do siebie zwabić, to chyba tylko ogromne, wodne szczury, których setki się tu kręci. Jaka tu bieda; wielka bieda!

Tam, przykucnięty do ziemi, obdarty rybak nie może sobie dać rady z naprawieniem przeżartych od wody i starości, zarzewiałych sieci; a przecież musi jechać na połów, bo z czego będzie żył? — A tu, przed domkiem o małym, zakratowanym, bez szyb okien, żona rybaka wywiesza na sznurze już tyle razy przepieraną i prawie podziurawioną bieliznę; a pod jej nogami płacze się garstka brudnych, obdartych i chudych dzieciaków. Aż luto się człowiekowi robi, gdy na to patrzy.

Jest to tylko mały skrawek Hiszpanii, ale jakże wiele ten skrawek mówi o całym kraju. Kraj to dumny, ale biedny, bardzo biedny.

Dumny? — tak. Wieczorem zaczepia mnie na ulicy jakiś młody żołnierz. Mówi, że chce wysłać list do młodej żony, bo chora, a nie ma na znaczek pocztowy. Dodaje jednak, że nie chce wcale jałmużny, a gdy dostanie żołąd, to małą pożyczkę zwróci. Nie było nawet o czym mówić i myśleć; a jednak, w

piątek, gdy otrzymał skromniutki żołądek, zjawił się w pensjonacie i owe parę groszy zwrócił; gdy nie chciałem wziąć i chciałem dodać mu jeszcze paczkę papierosów omal, że się obraził i pożyczkę musiałem, z bólem serca przyjąć. Paczkę papierosów włożyłem mu niepostrzeżenie do kieszeni. Na drugi dzień gdy go na ulicy spotkałem, chciał mi koniecznie za papierosy zapłacić.

Poprzez Gibraltar ku Majorce i Sycylii

Statek ma odpływać z Gibraltaru o czwartej nad ranem. Trzeba być w porcie pół godziny wcześniej, bo wielkie statki nie zawijają do samego portu w Gibraltarze, ale barkami dopływają się do nich. Po prostu port jest taki mały, że nie ma tu na wielkie statki miejsca. Nasz statek włoski, Vulcania, już czeka. Wsiadamy, a Co za ogromna różnica między Vulcania, a Leonardem da Vinci, statkiem też włoskim, na którym przyjechałem z Nowego Jorku do Gibraltaru. Ten ostatni prawie że nowy; wygodny, czysty, a tu brudy, obsługa niesympatyczna, choć to przecież ci sami Włosi.

Na okręcie w pierwszej klasie rej wodzą, nie Amerykanie, bo tych już nie tylu się tu spotyka, ale Niemcy, grubi, opasli Niemcy; oczywiście ci z Zachodnich Niemiec. Przy stole, w klasie turystycznej mamy trzech studentów niemieckich, wracając do Reichu po dwuletnich studiach w Stanach. Coś ich ci amerykańscy edukatorzy niewiele przekonali, czy zmienili. Rozmawiam z nimi po niemiecku, nie wiedzą kim jestem. Nie krępują się więc i używają na niedawnych gospodarzach, Amerykanach, ile tylko wlezie. Już i Hitlera zdają się żałować; żałują, że reszty Żydów nie wytępił; że Amerykanie oddali Europę Rosji, a teraz chcą żeby się Niemcy za nich bili, itd. it. Aż przykro słuchać. Czy Amerykanie nie mogą kogo innego do siebie sprowadzać na studia, tylko wiecznie tych samych Niemców? — Ileż to chętniej do nauki i dobrze usposobionej do nas młodzieży chciałoby pojechać do Stanów na studia, np. z biednej, a tak życzliwej nam i honorowej Grecji, czy nawet Turcji? A to nie tylko Niemcy młodzi nas nie lubią, ba, nienawidzą; tak samo jest ze starymi, tymi na przykład, których spotkałem w Tangerze. Nie byli lepsi od studentów. I oni winią Amerykanów za wszystko: nawet za rozpętanie ostatniej wojny. Już chyba tych Niemców nie nie nauczy; pozostaną zawsze sobą!

W kabinie jest nas trzech: jakiś urzędnik bankowy z Gibraltaru, podający się za Anglika, ale mówiący z akcentem hiszpańskim i jakiś student, Tangierczyk, z ojca Hiszpana, a matki Włoszki. Jedzie do Włoch na studia hotelarskie. Aż się przerażilem, bo gdy przyszedłem po załadowaniu się do kabiny zauważyłem torbę damską na łóżku, a że była otwarta, wysypały się z niej przyrządy kosmetyczne kobiece, włącznie z puderniczką i szminką. Pod łóżkiem zaś leżały kobiece nocne pantofle. By się upewnić, czy jestem we właściwej kabinie, zapytałem stewarta, czy przypadkowo nie dano mnie pomyłkowo do kobiecej kabiny. Uśmiechnął się tylko i zapewnił, że osoba, do której należą owe kobiece przyrządy, jest niestety płci męskiej, a że młoda i wiotkiej budowy, więc nie ma powodu bym w razie czego nie dał z nim sobie rady. Okazało się jednak, że ów młody

Tangierczyk, bo do niego owe kobiece przybory i przyrządy należały, był człowiekiem uprzejmym i miłym, i przynajmniej w stosunku do mnie, nie zdradzał żadnych nienormalnych skłonności. Jak to nie trzeba ludzi sądzić z wyglądu, czy nawet pewnych nawyków, czy upodobań!

Obsługa przy stole paskudna. Kelner, Włoch, karmi studentów Niemiaszków, jak wieprze; już nie mogą, a jeszcze im dokłada. Dla reszty zostają tylko dosłownie odpadki. Na pokładach też pełno Niemców; jedni wracają ze studiów, drudzy z takich, czy innych praktyk i staży; a wszyscy jedzą na umór; wygadują, klną i krytykują wszystkich i wszystko.

Dzień przechodzi na morzu, już teraz Śródziemnym. Włosi, a jedzie ich sporo, śpiewają wesoło i jeden drugiemu, wskazując na wodę, tłumaczy: to "Mare Nostrum". Nawet ci nie szkoleni znają to łacińskie powiedzenie, pochodzące od samego Mussoliniego.

Dopływamy do portu La Palma na Majorce.

Co za przepiękny widok na port, zatokę i miasto! W porcie stoi parę pasażerskich, dużych statków. Że mamy kilka godzin postoju, więc wybieramy się na zwiedzenie portu i miasta. Już czeka na nas autobus i przewodnik i ten ma nam pokazać miejscę warte zwiedzenia; a jest ich tu wiele, jak na niezbyt duże miasto. Rozłożyło się ono na wzgórzu, a domy schodzą z niego do samej wody. Tu mieszczą się wielkie, luksusowe hotele, wille ukryte wśród palm, osłonięte licznymi krzewami. Ale są i biedne domki; małe, obdarte; jak tamte na hiszpańskim pobrzeżu gibraltarskim.

Z tyłu, za miastem wysokie góry.

Ulice są jednak prawie puste, bo zima tegoroczna odstraszyła wczesnych turystów; i słusznie, bo mimo słonecznej pogody, jest bardzo zimno i wietrzno.

Zwiedzamy zamek i katedrę. Katedra zbudowana w stylu gotycko-romańskim. Zabytek architektury wspaniały! W skarbcu aż kąpią żywym srebrem i złotem monstrancje, ornaty, świeczniki. Te ostatnie wielkości półtora metra; pojedynczy człowiek nie udźwignie jednego. Czyste srebro, aż miło dotknąć; zda się ugiąć pod dotykiem. Jest i klasztor franciszkański, przy nim szkoła, chyba gimnazjum. Przy wyjściu staruszek zakonnik sprzedaje pocztówki i medaliki. Jakaś Amerykanka, gruba i sprośna, zasłoniła swym ogromnym korpusem wejście, targuje się o cenę pocztówek, że aż przykro na to patrzeć; reszta, nie doczekawszy się swojej kolejki, odeszła, i biedny zakonnik nic nie utargował od bogatych turystów zza Oceanu, bo gruba Amerykanka, nie dopuściła nikogo do niego, a sama też nic nie kupiła.

Plac i krużganki klasztoru franciszkańskiego przypominają żywo plac i krużganki Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie.

Ładujemy się z powrotem na statek. Piękne miasto i port La Palma pozostają za nami.

Płyniemy w kierunku Sycylii. Szóstego lutego dopływamy do brzegów wyspy. Zł dala już można ją dojrzeć. Wyłoniła się z morza, piękna w swej dzikości i powabie. Wygląda jakby ktoś zrzucił z wysokiego nieba ogromną bryłę skalną do wody. Ta spadała i rozłupiała się na pomniejszych bryły: wyspy i wysepki. Ogromne skały zwisają nad wodą-skały góry, poszarpane, pogryzione zębami czasu: silnymi zębami złośliwych morskich wicher i ulewisk: powyrzeźbiane od morskich fal i operlone osa-

dem morskiej soli. Jakie to cudne widoki! Takie groźne, bo puste; takie upiorne, że aż człowiek boi się patrzeć, a jednak wzrok przykuwając, takie piękne w swej upiorności i dzikości. Tu i tam, w ścianach skalnych, jaskinie, wytrzeszczające swe kamienne oczodoły ku wodzie, jakby tam ratunku, czy też pożywienia szukać chciały.

Na skraju skalnym przykucnęła do ziemi mała osada rybacka. Twardymi pazurami murowanych czy kamiennych pomurowań, domki trzymają się spadzistego brzegu. Odważniejsze wychodzą wyżej i tylko patrzeć, jak się skulają do wody.

Dojeżdżamy do największego portu wyspy, Palermo.

Miasto i port rozłożyły się szeroko i głęboko pomiędzy podnóżami gołych, a wysokich gór, a morzem. Na górach widać śniegi; w dole modra, zaburzona nieco w samym porcie oliwa, woda.

W porcie pełno statków. Przeważnie handlowe i turystyczne; bo sezon turystyczny, choć w tym roku spóźniony, już się jednak rozpoczął. Zatrzymujemy się. Wychodzimy na molo. Tu już cała zgraja naganiaczy: dziewczynki młode i ładne po dziesięć tysięcy lirów za sztukę; świeże pomarańcze i znowu dziewczynki i dziewczynki. A tam pod latarniami, mocno na szerokich tyłach oparte, czekają owe cudne sycylijskie; ciemnoskóre, koślawe i pękate; za mocno podmalowane i o rzadkich zębach, a niejedna mocnym, prawie że męskim zarostem. I za to ktoś ma dać dziesięć tysięcy lirów. Aż jakiś marynarz, choć mocno wygłodzony na morzu, tylko spluwa i odchodzi do pobliskiego baru, by tam raczej zakropić wodą robaka, który go gryzie.

Sklepy pełne. Okna wystawowe nawet gustownie urządzone. Ruchliwi i gadatliwi, ciemno oliwkowi Sycylijczycy, błyszczą ostrymi, czarnymi oczami i rzucają wzrokiem na prawo i lewo, jak wyostrzonymi nożami. Gdy rozpoznają w kimś cudzoziemca-turystę to zaraz te same oferty, te same i wszędzie te same, że już człowieka to nuży. Spuszczają z ceny, gdy nikt nie reflektuje na żywy towar. Handluje się tu kobietami, jak końmi, czy krowami.

Miasto dość ładne, ale przeładowane fabrykami, a co za tym idzie, zadymione.

I znowu na morzu; na pełnym morze. Tym razem już do celu ostatecznego dla naszej Vulkanii, ale nie dla mnie, do Neapolu.

Ciekaw jestem, czy powiedzenie: "Vidi Napoli et mori" jest uzasadnione.

PAWEŁ ŁYSEK

HENRYK PRZYBOROWSKI

BUKI

POWIEŚĆ

ZAMIAST WSTĘPU

"BUKI", — których druk rozpoczynamy w pierwszym numerze naszego nowego kwartalnika, są eksperymentem.

Używając nowoczesnych terminów, można je określić jako "mikropowieść" albo jako powieść - reportaż. Język angielski posiada doskonałą nazwę na tego rodzaju utwór: "long-short story."

Autor, nie odbiegł od swojej ulubionej formy pisarskiej, oszczędnej w słowach gawędy, opisującej kilkoma zdaniem wydarzenia, które mogłyby stanowić temat całych rozdziałów.

Tłem powieści są czasy sprzed pierwszej wojny światowej, dalej akcja toczy się podczas jej trwania, wreszcie przenosi czytelnika do okresu międzywojennego.

Widać jasno, że autor pragnął utrwalić dni minione, które zanikają w pamięci współczesnego pokolenia.

Jak to zazwyczaj bywa trudno przewidzieć wynik eksperymentu.

Wyrok zależeć będzie od czytelnika.

Jakimkolwiek by był, wyrażam przekonanie, że "BUKI" — jako interesujący i oryginalny utwór powieściowy, stanowić będą miłą lekturę, mimo obfitości momentów dramatycznych.

Bezpośredniość opisów nasuwa podejrzenie, że autor nie wynisnął fabuły powieściowej tylko z własnej fantazji, ale — chociażby z daleka — obserwował swoich bohaterów.

Jak to było naprawdę, nie dowiemy się zapewne nigdy.

Na nasze pytanie w tej kwestii, odpowiedział tylko uśmiechem.

Pragniemy wreszcie zaznaczyć, że wskutek ciężkiej choroby autor nie zdołał opracować i wykończyć powieści tak jak tego pragnął.

Seweryn A. Hartman

Wsi spokojna, wsi wesola,
Kto głos twój chwale zdoła?
Kto twe wczasy i pożytki
Może wspomnieć zaraz wszytki?

Oracz pługiem zorze ziemię
Stąd i siebie i swe plemię,
Stąd roczna czeladź i wszytek
Opatruje swój dobytek.

Jemu sady obradzają,
Jemu pszczoły miód dawają,
Nań przychodzi z owiec wełna
I zagroda jagniąt pełna.

Dzień tu, ale jasne zorze
Zapadły by znowu w morze;
Niżby mój głos wyrzekł wszytki
Wiesne wczasy i pożytki.

Jan Kochanowski

"Piesni" 1586.

I

Przed Sarajewem

KRĘŻOŁY —

1.

DOMEK PIĘCIU DZIEWCZĄT

Pan Jan Zarębski szedł powoli ścieżką pomiędzy polami ku domowi. Poza nim, huczała monotonnie młocarnia, której pracę dozorował od rana. Przed nim, w dolinie, wydłużoną linią ponad jeziorem ciągnęła się wieś. Poza nią, otoczony niewielkim parkiem, białł się w oddali stary dwór.

Zarębski, — mimo że nie minął jeszcze czterdziestki, szedł pochylony, mogło się zdawać zdaleka, że ścieżką od pól idzie — starzec.

Przez cały rok padały gęste deszcze, zboże w wielu miejscach wyległo, ziarno sypało skąpo, myśl o przetrwaniu do następnych żniw przygniatała Zarębskiego do ziemi.

Krężoły nie były magnacką fortuną.

Na każdym przednówku Zaremski "robił bokami". Zdarzało się i tak, że przyciśnięty długami sprzedawał zboże na pniu za połowę wartości.

Największą troską obojga Zaremskich, było danie jakiego takiego wykształcenia pięciu córkom.

Najstarsze, Hela i Tereska, po ukończeniu nauk u Urszulanek, postanowiły poświęcić się służbie Bożej i pozostały w Zakonie, w którym spędziły dzieciństwo. Trzecia z kolei Iza, otrzymała chlubne świadectwo pensji hr. Plater w Warszawie, Anielka przebywała w Zakładzie hr. Zamoyskiej w Kuźnicach najmłodsza Stefcia, posiadająca śliczny głos, przebywała w domu jeżdżąc tylko dorywczo do pobliskich Uniszek Murowanych, gdzie rezydująca u zamożnych sąsiadów Wychnowskich Francuzka, Mademoiselle Champiere, udzielała jej lekcji śpiewu i gry na fortepianie.

Córki szybko dorastały. Aczkolwiek dwie z nich — Urszulanki nie potrzebowały już rodzicielskiej pomocy, pozostałe, Izę, Anielkę i Stefcie należało wyposażyć. Pani Natalia Zaremska uważała za punkt honoru wydanie córek za godnych rodowego nazwiska kawalerów. Z mieszanym uczuciem dumy i niepokoju, przyjęła prośbę syna zamożnej sąsiadki, Alfreda Prawdzic—Wychnowskiego, o rękę - Izy.

Omawiając sprawę małżeństwa pani Celina Wychnowska oświadczyła, że nie spodziewa się żadnego posagu. "Odpowiednia wyprawa, wystarczy Izcie..." — powiedziała. Jeden ciężki kłopot, ubywał Zaremskim.

Mimo to, Jan Zaremski przyjął wiadomość o oświadczeniach Wychnowskiego z przerażeniem. Aczkolwiek starał się to ukrywać, nienawidził bogatych sąsiadów z Uniszek Murowanych. Do Alfreda miał instynktowne uprzedzenie. Jego nalana twarz, rozbiegane oczka, — przejęte od matki — wyniosły sposób mówienia, dziwny, lekceważący stosunek do kobiet, wyzyskiwanie chłopów i własnych robotników, odpychały go od niego.

"Biedna Iza..." — powiedział, kiedy go żona zawiadomiła o wizycie Wychnowskich.

"Gdybyśmy byli bogaci, nigdy bym się nie zgodziła na to małżeństwo" — westchnęła pani Natalia.

Zaremski minął wieś, groblę - dobiegającą prawie do bramy parku — i spojrzał ku dworowi. Przed gankiem oczekiwało go dwóch kupców Szczerkowskich.

"Dowiedzieli się, że zacząłem młócić. Już przylecieli..." — pomyślał.

— Młóć dziś tylko na ordynarię, odstawię wam żyto w przyszłym tygodniu — odprawił ich ruchem ręki.

W bramie wjazdowej ukazała się bryczka. Kiedy się zatrzymała, Zaremski pomógł wysiąść żonie.

— Zgodziła się wysłać Izę na dwa miesiące do Warszawy — pani Natalia zdjęła płaszcz i otrzepała go z kurzu. — Gdyby odmówiła, zabrałabym Izę i przywiozła tutaj. Wszystko ma swoje granice!

Powoli weszli do domu.

Artur Prawdzic-Wychnowski, dziedzic Uniszek Murowanych, miał przyszłość zapewnioną. Jego starszy brat, nie objawiający chęci do małżeństwa, poświęcił się adwokaturze. Otrzymałszy dwie kamienice w Warszawie, otworzył tam kancelarię, która się stała wkrótce miejscem zebrań czołowych przedstawicieli stołecznej Narodowej Demokracji.

Artur, ulubieniec owdowiałej matki, mógł uważać piękne dobra uniszkowski za swoje.

Kiedy pani Zarembka obwieściła Izie, że została uznana przez Celinę Wychnowską za godną zostania jej przyszłą synową, Iza zamknęła się w swoim pokoju. Po pierwszym wstrząsie, myśląc już spokojniej, doszła do wniosku, że nie może oczekiwać od losu niczego lepszego.

Na spotkanie gości z Uniszek wyszła starając się ukryć zaczerwienione oczy.

Okres narzeczeństwa skrócono do minimum. Iza nawet się nie opamiętała, kiedy w wieczór przedślubny matka wezwała ją do swojej sypialni.

— Fatalnie się złożyło, — westchnęła pani Natalia Zarembka, że właśnie dziś, w przeddzień ślubu, nawiedziła cię ta nasza kobieca słabość. Bo to widzisz, ostatnia chwila, aby ci wyjaśnić na czym polega życie małżeńskie.

Pocąc się, jękając, zraszając perfumami czoło, poczęła opowiadać Izie, w czym się rzecz ma cała.

Okazało się wkrótce, że obawy jej o powodzenie nocy poślubnej były — płonne.

Bezpośrednio po kolacji weselnej, młodzi udali się w podróż.

Miodowy miesiąc już mijał, gdy znaleźli się w Biarritz. Pomimo wielu nocy spędzonych wspólnie w berlińskich i paryskich hotelach, Iza nie bez zdziwienia, stwierdziła, że żadna z przepowiedni matki się nie spełniła.

Artur, był dla niej wyszukanie uprzejmy, w magazynach paryskich nakupił jej niezliczoną ilość strojów, towarzyszył do teatrów i na koncerty, dbał o punktualne posiłki. Wieczorem, przed snem, całował ją przelotnie w czoło, kładł się do łóżka i momentalnie zasypiał. Jego chrapanie doprowadzało ją do rozpacz.

Zdarzały się, jednak coraz częściej wieczory, które spędzała samotnie.

Artur przepadał, wracał późno w nocy, kładł się cicho do łóżka, starając się jej nie obudzić.

Któregoś dnia podczas obiadu w restauracji, znajdującej się w pobliżu plaży morskiej, podszedł do ich stolika przystojny, smagły młodzieniec. Białe ubranie odcinało się silnym kontrastem od jego oliwkowej skóry. Orli nos, głęboko osadzone piwne oczy, bujna, kędzierzawa czupryna mówiły o wschodnim pochodzeniu przybysza.

Artur zerwał się z krzesła, objął go poufale ramieniem i podprowadził do stolika.

— Mój najlepszy przyjaciel, monsieur Kamal — przedstawił go Izie.

Młody człowiek ujął jej rękę i podniósł do pocałunku. Pocałował, że dłoń ma lepką i zimną. Od pierwszego spojrzenia poczuła do niego odrazę.

Kilka dni później opuścili Biarritz, udając się do Rapallo. Monsieur Kamal im towarzyszył. Zauważyła, że Artur płaci za niego nie tylko bilety kolejowe, ale i wszystkie rachunki. Kilka z nich odebrała sama podczas nieobecności męża. Były to rachunki za ubrania, trzewiki, bieliznę, perfumy. Jeden pochodził od fryzjera.

— To bardzo miły chłopiec, — śmiał się Artur kiedy mu je wręczyła. — Nauczył mnie świetnie pływać i grać w baccaratta. Już same moje wygrane przewyższają kosztą jego skromnych przyjemności.

Kosztą te, nie musiały być znowu tak bardzo niskie, skoro pewnego dnia Artur wysłał depeszę do Uniszek z prośbą o pieniądze z zapowiedzią rychłego powrotu.

W ciągu ostatniego tygodnia pobytu w Rapallo widywała męża tylko przed południem i w czasie obiadu. Zapytawszy raz portiera, czy nie widział go, jak wychodził, zdumiała się jego odpowiedzią:

— Monsieur jest w hotelu...

Tego samego wieczoru dostała silnej migreny i nie zeszła na kolację. Leżąc w łóżku przykładła sobie wilgotne kompresy. Zdawała sobie sprawę, że jeśli nie podzieli się z kimś dręczącymi ją myślami, to straci panowanie nad sobą.

Koło dziesiątej usłyszała pukanie.

Pokojówka przyszła się zapytać, czy ma przynieść kolację do pokoju.

— Madame jest chora... — powiedziała patrząc na leżącą.

Kilka minut później, zjawił się przed nią starszy, bardzo starannie ubrany jegomość.

— Buchard, — przedstawił się. — Jestem tu stałym rezydentem, — uśmiechnął się, — można powiedzieć bezrobotnym lekarzem. Sprawilo by mi wielką przyjemność, gdybym mógł pani dopomóc moją oplakaną wiedzą medyczną...

Już przedtem, kiedy go spotykała w sali restauracyjnej, monsieur Buchard wzbudził w niej sympatię.

— "Teraz albo nigdy", — pomyślała patrząc na miłą, uśmiechniętą twarz starszego pana.

Podala mu rękę, wskazała fotel i podsunęła pudełko z papierosami.

— Niech pani mi wszystko opowie szczerze, — zapalił papierosa — poza mną nikt się o tym nie dowie.

Zamknęła oczy i zaczęła mówić.

— Aby wydać opinię, — powiedział Buchard kiedy skończyła, — musiałbym zbadać męża pani. Pani jest zdrową, młodą, śliczną kobietą i myślę, że przyczyny tego stanu rzeczy, należy szukać po jego stronie. Ale — ciągnął — są takie objawy, na których podstawie mógłbym wysnuć pewne hipotezy, bez badania. Niech pani mi powie, czy mąż przebywa często w towarzystwie młodych mężczyzn?

— Owszem, — odpowiedziała Iza.

— Na przykład w towarzystwie tego Syryjczyka, który mieszka w naszym hotelu?

— Tak jest... Wstrętny typ... — powiedziała Iza.
Doktor Buchard wstał i podszedł do okna.
— Droga pani, — powiedział — istnieją dwa sposoby kuracji: rozwód albo kochanek. Im prędzej się pani zdecyduje, tym lepiej. Proszę mi wierzyć: marnuje pani najlepsze lata życia.

3.

TEŚCIOWA

W dniu, w którym Jan Zaremski rozpoczął mióćkę żyta, na wychodzącej w stronę parku werandzie w Uniszkach Murowanych, siedziały panie Cecylia Prawdzic-Wychnowska i Natalia Zaremska. Filiżanki kawy i spodeczki oblaných kremem truskawek, stały przed nimi.

Pani Wychnowska uważała się za osobę gruntownie wykształconą i przy każdej sposobności starała się okazać Zaremskiej, że góruje nad nią inteligencją.

— Jak to zawsze mawiał mój nieodżałowany mąż, powinniśmy być zadowoleni z sytuacji kraju — monologowała. — Mamy spokój, trzy ruble wsunięte do ręki urzędnika załatwiają nam każdą sprawę. Żeby nie ta zwariowana Warszawa, moglibyśmy żyć bez troski.

— Znowu rzucili bombę na gubernatora Skalkona, — wtrąciła Zaremska, pragnąc zaznaczyć, że i ją interesują poważniejsze zdarzenia.

— Właśnie. Nie mogą usiedzieć cicho, ciągle urządzają jakieś awantury. Czytałam w "Dwugroszówce", że zatrzymali pociąg pod Bezdanami i obrabowali wagon pocztowy. Zamiast się cieszyć, że stójkowy marznie na ulicy, a oni mogą spać w ciepłych łózkach, urządzają brewerie! Całe szczęście, że Narodowa Demokracja prowadzi mądrą politykę. Ugoda z carem, — który przecież jest także królem polskim, to jedyna droga do naszej pomyślności. Tych socjalistów, skoro nie dbają o swoje rodziny, powinno się wywieźć na Sybir.

— Słyszałam, że pan Anzelm Kończyc, powrócił do Buków, — przerwała Zaremska.

— Wariat! Po aresztowaniu, zamknęli go w sanatorium dla nerwowo-chorych, tylko dlatego uniknął zesłania. Podobno należał do jakiegoś tajnego towarzystwa w Petersburgu. Na szczęście siedzi teraz spokojnie w Bukach. Pomyśleć, że człowiek który posiada perłę majątków całej gubernii, zdolny był do takich szaleństw!

Zaremska, obawiając się, że problemy polityczne ukażą jej ignorancję w tej dziedzinie, zmieniła temat.

— W sobotę, będziemy obchodzili trzecią rocznicę ślubu naszych dzieci, — powiedziała, — myślę Ciesiu, że przyjedziesz do Krężoła na kolację.

— Smutna rocznica, — skrzywiła się Wychnowska. — Obawiam się, że będziecie ją celebrowali beze mnie.

— Wiem o czym myślisz. — Zaremska odsunęła filiżankę kawy. — Mówiła mi o tym mademoiselle Champière.

— Ona jest także powodem, że nie tęsknię do Krężoła. Muszę ci powiedzieć Natalio, że zawiodłam się na tobie:

przyjąć Francuzkę, którą ja odprawiłam, to nie jest dowodem lojalności.

— Przebywała u was przeszło dwadzieścia lat. Trudno mi było odmówić jej prośbie. Poza tym Stefcia nie ukończyła jeszcze swoich lekcji.

— Cóż ci ta megera nagadała?

— Czy mam być szczerą? — głos Zaremskiej zdrzął nerwowo.

— Naturalnie!

— Powiedziała mi Cesi, że ty torturujesz Izę! — poprawiła się w fotelu, wspierając się mocno rękami na jego poręczy.

— Coś takiego! — wykrzyknęła Wychnowska.

— Powiedziała mi, że ją poniżasz wobec służby; że kiedy na początku powierzyłaś jej zarząd domu, to nie spróbowałaś nawet jedzenia, kazałaś wazy i półmiski zabierać z powrotem do kuchni i wyrzucać do chlewa; powiedziała, żeś Izę zwymyślała najgorszymi słowami przy ogrodniku i zakazała ją wpuszczać do warzywnika; powiedziała, że nie było dnia, w którym byś jej nie pytała: "No, co tam nowego? Nie jesteś jeszcze w ciąży?"...

Wychnowska zwróciła wzrok w stronę parku.

— To prawda — wyrzekła. — Ja muszę mieć wnuków. Marceli zostanie starym kawalerem. Artur, nazwisko, Uniszki dwieście lat w naszej rodzinie. Do skończenia świata muszą tu rządzić Wychnowscy. Wybrałam Izę na synową, bo wydawała mi się najsilniejszą, najzdrowszą spośród znanych mi panien. Nie zrobiłam tego, — dodała z ironią, — dla jej... fortuny.

— Winisz Izę za brak potomstwa?

— A kogo? Artura? — Wychnowska zaniosła się śmiechem. — Mężczyzna jak dąb, krzepki, wysportowany! A to mi się podoba! Gdzie ty masz oczy Natalio?!

Zaremska westchnęła głęboko.

— Porozmawiajmy rozsądnie — powiedziała. — W takich wypadkach dobrze robi chwilowa rozłaka. Wyślijmy Izę do Warszawy. Ma tam zamożną koleżankę. Przy tej sposobności będzie się musiała poddać dokładnemu badaniu lekarskiemu i ewentualnie przejąć odpowiednią kurację.

— Cieszę się, że przyznałaś mi rację. — Wychnowska wzięła do ręki talerzyk z truskawkami. — Nie mam nic przeciwko wysłaniu Izy do Warszawy. Możesz być przekonana, że jeśli kuracja pomoże, oddam jej z powrotem zarząd domu i ogrodów. Jej obowiązkiem wobec nas jest zostać matką. Tu chodzi o nasze wspólne dobro...

4.

PLAN

Stójkowy, stojący przed dworcem Nadwiślańskim, podał Izie numerek dorożkarski.

Plan pobytu w stolicy miała już dawno obmyślony do ostatniego szczegółu. Znała Warszawę z czasów pensjonarskich i przypominała sobie, że na ulicy Chmielnej znajduje się kilka hotelików.

— Proszę jechać na Chmielną, — rzuciła dorożkarzowi.

Orzeźwiający wietrzyk, ciągnący od Wisły, musnął jej twarz

i poderwał kosmyki jasnych włosów spod kapelusika.
Od chwili powzięcia decyzji uspokoiła się i poweselała.
Cały plan umiała na pamięć i wiedziała, że go wykona do końca.

W okresie panieństwa, nasłuchiwała się — do znudzenia — opowiadań o teściowych. Niektóre z nich były nawet wesołe. Początkowo unikała w rozmowach o pani Prawdzie-Wychnowskiej określenia "moja teściowa". Mówiła zawsze "matka mojego męża". Teraz, przekonała się, że najbardziej uszczypliwe historyjki, nawet w małej części, nie oddawały prawdy. Jak spod murów ponurego zamczyska ścigał ją zgryźliwy głos witający ją przy śniadaniu: "Cóż mi dzisiaj powiesz? Zdecydowałaś się mieć dziecko?" Upokorzenia wobec służby, odebranie "kluczy", zakaz wstępu do ogrodu warzywnego i dziesiątki innych przemysłnych dokuczliwości, wyczerpały jej nerwy, spędzały sen z powiek, doprowadzały do rozpacz. Tajemnicę dziedzica Uniszek-Murowanych znało niewielu ludzi. Ci, co ją znali, umieli milczeć.

Zdawała sobie sprawę, że w warunkach w jakich się znalazła, najlepszym wyjściem byłby — rozwód. Z jakim tryumfem, powitałaby go Wychnowska. Nienawiść do tej podłej kobiety, chęć zemsty za to wszystko co od niej wycierpiała wykluczała podjęcie kroków rozwodowych.

Przez całą drogę z Kielc, powtarzała w takt stukotu kół wagonu: "A będziesz miała dziecko! Będziesz miała! Będziesz, będziesz!... Jeśli się tak nie stanie, to cię chyba — zabię..."

W miarę mijania ulic i zbliżania się do jasno oświetlonego śródmieścia, nastrój jej szybko się zmieniał. Przesuwające się przed oczami obrazy, tłumy przechodniów, dzwonki tramwajów, jaśniejące blaskiem wystawy sklepowe, pogrążały w niepamięć wszystko, co pozostawiła poza sobą.

Poczuła pogrążyć się w nastroju roześmianej Warszawy. Dawno zapomniany uśmiech osiadł na jej wargach.

Hotel nazywał się "Grand", ale "Grandem" nie był.

Czerstwy, przysadzisty portier zaprowadził ją do małego, czystego pokoiku. Cały jego kat zajmował wielki piec kaflowy. Obszerne łóżko, stół, dwa foteliki, umywalnia z porcelanową miednicą "w niebieskie kwiaty" i takim samym kubłem stojącym na podłodze, uzupełniały umeblowanie.

Umyła się i uczesała. Poczuła głód i zgodnie z instrukcją przybitą na ścianie, zadzwoniła trzy razy na kelnera.

Po chwili zjawił się ten sam portier, który ją wprowadził tyle, że trzymał w ręku "menu" z restauracji mieszczącej się w tym samym domu.

— Niech pan się nie przestraszy, ale Warszawa przywróciła mi apetyt... — uśmiechnęła się. — Poproszę o zupę rakową, kurczę z mizerią i melbę brzoskwińową... — podała mu banknot trzy rublowy.

— Przyniosę panience jeszcze pół buteleczki dobrego wina — portier "pstryknął" palcami w brodę zamykając drzwi.

Po kolacji, zapałała papierosa. W przedziale kolejowym, próbowała także palić, ale kaszel uniemożliwił te usiłowania. Zgorzzone spojrzenia pasażerów przeszkodziły w zaprawie. Ten papieros był jednym z szczeblików planu.

Patrząc na unoszący się ku sufitowi dymek, roztrząsała w myśli powzięty zamiar.

Wiedziała dobrze, że znalezienie kochanka w okolicy nie

przedstawiało by większych trudności. Skomplikowało by to jednak dalsze życie. Postanowiła nie wiązać się już nigdy z żadnym mężczyzną. W Warszawie, — której nie widziała od wielu lat, — nikt jej nie znał. Jedyna jej bliska przyjaciółka, — ta o której pani Zarembka wspominała Wychnowskiej, — wyszła dawno za mąż i mieszkała pod Siedlcami. Sąsiedzi, zajęci żniwami, siedzieli w domu. Była pewna, że nikogo znajomego nie spotka.

Kochanek, którego sobie wybierze, spędzi z nią tylko jedną noc. Potem, nigdy go już nie zobaczy. Pobyt jej w Warszawie ma potrwać dwa miesiące. Czasu ma dość.

Przejrzała się w lustrze, poprawiła włosy, włożyła kapelusik i wyszła na ulicę.

Ten pierwszy wieczorny spacer, miał swój określony cel.

Nowy Świat tętnił życiem. Fale warszawiaków płynęły od strony Krakowskiego Przedmieścia prawą stroną ulicy ku Alejom Jerozolimskim.

Ludzie wychodzili z kin, wchodzili do cukierni i barów. Poszła pod prąd ku Wareckiej. Nie przyglądała się mężczyznom. Starła się wyławiać w tłumie przechodniów kobiety z półświatka, zaobserwować ich stroje i zachowanie.

Przez wielką szybę kawiarni "Empire", dostrzegła, że będzie ona idealnym miejscem obserwacji.

Usiadła przy stoliku, na czerwonym pluszowym foteliku i zamówiła mazagran. Kilka mocno wymalowanych damulek siedzących przy sąsiednich stolikach, zaczęło ją obserwować ciekawie. Usłyszała jak jedna z nich, powiedziała do koleżanki: "Nie krzyw się Julka, to nie nasza..."

Nie dokończywszy mazagranu opuściła kawiarnię.

"Muszę sobie kupić jutro" — myślała, idąc z powrotem do hotelu, — "jedwabną żółtą bluzeczkę, różową sukienkę, kapelusz słomkowy z imitacją strusich piórek i "boa" na szyję. Przydadzą mi się dwa pudełka różu, ołówki do malowania brwi i purpurowa pomadka. Muszę także pamiętać o jaskrawej parasolce..."

W takim stroju, zjawiła się następnego wieczoru w "Empire".

Ten sam kelner, — pomny sutego napiwku jaki od niej otrzymał natychmiast podszedł do jej stolika.

— Proszę o lody owocowe i pudełko "Renoma" — rzuciła ku niemu wesołe spojrzenie.

— Wczoraj wzięłam panią za kogoś innego, — nachylił się ku niej — ale dziś to widzę, że zostanie pani naszą stałą klientką. Proszę się nie obawiać, już ja znajdę kogoś takiego, że inne nagła krew zaleje...

Przyniósłszy zamówione lody szepnął:

— Proszę się przyjrzeć temu facetowi co siedzi pod oknem. Ciężka forsa. Jubiler...

Obróciła się ku oknu.

Podtatusiała, łysy jegomość zauważył, że na niego patrzy i zrobił ręką ruch zapraszający.

Udała, że tego nie zauważyła. Kącikiem oka dostrzegła, że wstał ze swego miejsca i zbliża się ku niej.

— A cóż to, kotku, lornetki panience potrzeba, aby dojrzeć takiego ułomka jak ja?... — roześmiał się siadając obok niej.

— Nie przyszłam tutaj w poszukiwaniu znajomości, — powiedziała czując krew nabiegającą do policzków. — Przyszłam na lody.

— Lody dla ochłody, — położył rękę na jej kolanie, — ale Genio dla rozgrzewki!

— Pan będzie łaskaw mnie nie dotykać. — Starła się zepchnąć jego rękę z kolana.

— Ej, koteczku, widzę, że tu jesteś nowa... to tym lepiej... No, nie tracmy czasu na terefere, co zrobimy z resztą wieczoru?

Wyjęła szybko z torebki pieniądze, położyła je na stoliku i wyszła żegnana ironicznymi uśmiechami "koleżanek".

Dwa następne dni upłynęły bez żadnych przygód. Z "Empiru" zrezygnowała. Trzeciego wieczoru szła powoli ku Placowi Trzech Krzyży zatrzymując się przed wystawami sklepów. Doszedłszy do ul. Książęcej zawróciła z powrotem.

W pewnej chwili usłyszała tuż za sobą głos:

— Gdzie tak drobna, stąpasz nóżką? — poczuła rękę wsuwającą się pod ramię.

Przystanęła i odwróciła się.

Przed nią stał młody człowiek. Uchylił melonika i patrzył na nią roześmianymi oczami. Był starannie ubrany w ciemny garnitur. Nie mógł być starszy od niej samej. Odgarnął opadające na czoło włosy.

"Przystojny i wygląda uczciwie..." — przemknęło jej przez myśl.

— Jam z tej chatki, rwałam kwiatki, i powracam już! — roześmiała się.

— Wracam? Już?! W taką noc, ktoby o tym myślał?!...

Nawet się nie opamiętała kiedy znalazła się w dorożce. Po kilku minutach wysiedli na ul. Karowej, przed wejściem do gabinetów restauracji hotelu Bristol.

Dopiero w jasno oświetlonym gabinecie mogła się przyrzec dokładniej swojemu towarzyszowi.

"Śliczny chłopiec" — potwierdziła w myśli pierwsze wrażenie.

— Kwiatku nocy letniej, nie patrz się tak na mnie, bo się zarumienię... — powiedział.

Ze zdziwieniem zauważyła, że się naprawdę zaczerwienił.

— Wobec tego, że w życiu zawodowym jestem zmuszony łąć od rana do wieczora, — skłonił się przed nią głęboko, — więc w życiu prywatnym mówię tylko prawdę. — Pozwolę się przedstawić: Imię: Wacek. Nazwisko: Penott. Stan: Wolny jak ptaszek. Zawód: Sprzedaż nieruchomości ziemskich i miejskich.

Pomógł jej zdjąć kapelusz i powiesił go na wieszaku.

— Przykro mi bardzo, — rzekła — ale wobec tego, że w życiu zawodowym mówię tylko prawdę, w życiu prywatnym jestem — Kwiatkiem z Chatki...

Do gabinetu wszedł kelner. Wacek Penott obstałował kolicję.

— I, butelkę szampana! — zawołał za odchodzącym kelnerem.

— Czy to nie szkoda pieniędzy? — zapytała.

— Kwiatku słodziutki! — zawołał — dziś jest mój szczęśliwy dzień, musimy go uczcić. Przed południem sprzedałem bankrutujący majątek pod Mławą, po południu starą rudę fabryczną na Pradze, wieczorem spotkałem tak prześliczną osobkę, jakże nie mam się cieszyć?!

— Nie każdy dzień przynosi powodzenie... — patrzyła spokojnie w jego oczy.

Zmieszał się trochę, zbliżył do niej i wziął jej rękę w swoje dłonie.

— Nie myślmymy o tym.

Poczuła delikatne muśnięcie warg na palcach.

"Mam niebyswałe szczęście" — pomyślała. "Prawdopodobnie powinnam go teraz pocałować za ten szampan"...

Podniosła się z kanapki, objęła go za szyję i pocałowała.

Oddał jej pocałunek tak naturalnie, że nie tylko się nie zmieszała, ale wydało jej się, że zna go bardzo dawno. "Plan", dyktował każdy jej ruch, każdy uśmiech. Powtarzała go jak dobrze wyuczoną lekcję.

Szumiało już jej trochę w głowie, gdy przeszli na salę dancingową.

Wacek tańczył świetnie, zdawało się, że unosi ją z łatwością w powietrze. Sala, tancerze, orkiestra, wirowały jej przed oczami, przyciskała się coraz mocniej do swojego partnera.

Oprzytomniała nieco, kiedy znaleźli się przed drzwiami garsoniery na ul. Foksal. "Wacław Penott"! — "Sprzedaż i kupno nieruchomości" — odczytała bilet przybity pluskiewkami do drzwi.

"Wszystko w porządku" — dodała sobie w myśli odwagi. — "Plan mi zezwala na jedną noc — zapomnienia".

Weszli do maleńkiego przedpokoju. W głębokiej wnęce dostrzegła kuchenkę gazową.

— Tutaj mam wcale porządną łazienkę... Wacek wskazał drzwi po lewej stronie przedpokoju. — Może Kwiatek pragnie się odświeżyć? Ja tymczasem zaparzę kawę...

Iza rzuciła okiem w głąb mieszkania. Był tylko jeden pokój przytulnie umeblowany. Łóżko zastępował tapczan, pokryty wschodnimi makatami.

Kiedy powróciła z łazienki, makaty zniknęły. Tapczan zastąpiony był pościelą. Światło maleńkiej lampki, umieszczonej ponad szafką z książkami odbijało się w maszynce do zaparzania kawy, stojącej na stoliku.

Wacek, na wół leżąc, oparty o poduszki, palił papierosa. Podeszła do niego.

— Jestem gotowa... — wyszeptwała.

Przez rozchyloną portierę promień słońca padał jasną plamą na podłogę.

Iza ostrożnie uniosła się na poduszcze. Mięśnie bolały ją nieco, ale było to jakieś przyjemne zmęczenie, którego nigdy przedtem nie знаła.

Wacek, odwrócony do niej twarzą, spał spokojnie. Jego oddech był, prawie niedosłyszalny.

Patrzała na niego i poczuła, że ją ogarnia nieopisana — tkliwość.

"Tego nie ma w planie" — pomyślała, ześlizgując się z tapczanu.

Zabrawszy swoje rzeczy po cichutku przemknęła się do łazienki.

Leżąc w wannie, zaczęła drzemać. Woda była już zupełnie chłodna, kiedy się ubrała i weszła do pokoju. Ze zdziwieniem zobaczyła Wacka siedzącego za stołem i ubranego. Pościel zniknęła z tapczanu, który pokrywały ponownie makaty.

Zauważyła, że patrzące na nią uważnie oczy nie śmieją się tak, jak poprzedniego wieczoru.

— Wczoraj, wypiliśmy o jeden kieliszek wina za dużo —

wyrzekł. — Myślałem, że ten okrzyk bólu, należał do stałego repertuaru pani. Teraz pytam: co to znaczy? — wskazał równo ułożoną na krześle pościel.

Oparła się o ścianę.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju.

— Nie skrzywdziłem w życiu żadnej kobiety, — powiedział. — Dlaczego mi pani o tym nie powiedziała? Ten strój, te piórka, to była maskarada? Dlaczego zmusiła mnie pani do popełnienia podłości. Czy pani sobie zdaje sprawę jakie konsekwencje może przynieść ta noc...

Zatrzymał się przed nią i patrzył jej prosto w oczy. Poczuli, że nogi jej drżą w kolanach.

— Nie mówmy teraz o tym, — poprosiła. — Jestem głodna, czuję, że słabnę. Pomówimy o tym po śniadaniu, panie Wacku...

Zawiązał krawat i wiożył marynarkę.

— Pójdę po bułki, trochę masła i szynkę — powiedział machinalnie. Niech pani nastawi wodę na herbatę.

Kiedy wyszedł Iza szybko podbiegła do biureczka, zerwała kartkę z kalendarza i sięgnęła do swojej torebki po ołówek.

Skreśliła pospieszenie kilka słów, położyła kartkę na biurku i wybiegła z mieszkania. Na schodach zerwała strusie piórka z kapelusza.

Penott, położył paczkę z prowiantami na stole i podszedł do biurka.

"Wacku!" — odczytał — Proszę nie mieć wyrzutów sumienia. Wina jest tylko moja. Jeśli pan będzie grzeczny i o nic nie spyta to za kilka tygodni zobaczymy się jeszcze. Zatelefonuję. Kwiatek".

— Ładny kwiatek... — pokiwał głową.

5.

ŁAZIENKI

Mineły trzy tygodnie.

Ktoregoś wieczoru, Wacek leżał na tapczanie, zatopiony w czytaniu książki. Dzwonek telefonu oderwał go od dziejów Krzysztofa Cedry i Rafała Olbromskiego, które śledził z zapartym oddechem.

— Tu mówi Penott, — rzucił w słuchawkę.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, powtórzył:

— Tu mówi Penott. Kupno i sprzedaż nieruchomości.

— A ja mówię z... chatki, — usłyszał nieśmiały głos.

— Dobrze bogi!... Kwiatek? — przycisnął mocniej słuchawkę do ucha. — Co się z panią stało?... Cały czas pod Siedzieli u koleżanki? Czy będę mógł panią zobaczyć?... Dobrze, jutro. Kupię bilety do "Nowości" Będę czekał przy wejściu przed ósmą... Do jutra...

Światło gasło na widowni.

Siedzieli w drugim rzędzie krzeseł, przy samym przejściu.

Wacek, ujął Iżę za rękę.

— Ten pan co bierze w tej chwili pałeczkę — szepnął — to kapelmistrz Lasocki.

Orkiestra zagrała uwerturę do Leharowskich "Manewrów Jesiennych".

Kurtyna poszła w górę. Popłynęły pieśni węgierskiej puszyty, walce i czardasze, ilustrując melodią tragedię miłości pięknej baronówny i ubożego rotmistrza huzarów.

Za każdym nowym aktorem, czy aktorką, ukazującymi się na scenie, Wacek wymieniał po cichu ich nazwiska: Józef Redo, Messalka, Wicuś Rapacki, Szczawiński, Popowski, Sandecki, Morozowicz, Manowska...

Zauważywszy, że Izę mocno poruszył los nieszczęśliwego huzara, nachylił się do jej ucha:

— To się wszystko dobrze skończy... — pocieszył ją.

— Gdybyż to życie było operetką... — westchnęła.

Po przedstawieniu, pojechali na kolację do restauracji "Pod Bachusem" na ul. Widok.

Stoliki tutaj były umieszczone w "łóżach" poprzedzielanych niskimi ściankami.

Przechodząc koło bufetu Wacek zatrzymał się i wypił kieliszek wódki. Podczas kolacji jadł mało, natomiast ku zaniepokojeniu Izę wypróżnił przeszło pół butelki koniaku.

W pewnej chwili, zwrócił się do niej.

— Dałem słowo, że o nic nie będę się pytał. — zapalił papierosa. — Jak pani widzi dotrzymuję zobowiązania.

— Czy nie moglibyśmy zapomnieć o tej "pani" i "panu", choćby na dzisiejszy wieczór? — zapytała.

— Doskonale, — zgodził się — ale ja nawet nie znam twojego imienia.

— Kwiatek z chatki, nie wystarczy?

— Musi wystarczyć. Wiesz co, — dodał po chwili, — tak sobie myślę że gdybyśmy mieli własne państwo, to bym poszedł do — wojska. Nawet ze sceny ci obcy huzarzy węgierscy, ciągnęli mnie do siebie.

— Ach, ten Wicuś Rapacki! — roześmiał się.

Przychylił w tył głowę i począł nucić:

— Kadet od rezerwy, jestem z przeproszeniem,

Los ten z utrapieniem,

Muszę znosić ja...

Wszystkie dnie i nooo-ce,

Ja się strasznie poo-cę,

Proszę państwa, co Ojczyzna

Z tego ma?!...

Ostatnią zwrotkę kończył pełnym głosem.

Z sąsiednich "łóż", odezwały się brawa.

"On jest pijany" — pomyślała Iza. "Trzeba to spotkanie szybko zakończyć."

Na ulicy rozglądnęła się za dorożką.

Domyślił się jej zaniepokojenia.

— Nie bój się — wyrzekł — Nie będę cię prosił do — siebie. Ale mam inną prośbę: chodźmy do — Łazienek.

— Już jest po północy, — zaprotestowała, — park zamykają wcześniej.

— Znam takie przejście koło Ujeżdżalni, przez które z łatwością wejdziemy do środka...

Księżyc kładł srebrną smugę na wodzie, łabędź popłynął ku brzegowi.

Wacek wyciągnął się na ławce, opierając głowę na kolanach Izy.

Bezwiednie poczęła przesuwając palcami po jego włosach.

Usłyszała przyciszony, dźwięczny głos:

— Noc księżycowa,

Tajemnie brzmią słowa...

W tę cudną noc...

Księżyc nie powie,

Co śnią kochankowie...

Gwiazdy...

Jakby nie przerywając piosenki mówił teraz cicho:

— Obrączka ślubna... Widziałem jej odcisk na palcu. To-rebka: "Bijou" — Paris, Madelaine... I to, co potem nastąpiło... O nic nie pytam. Znam odpowiedź. Kwiatek mój niezapomniany, jedyny kwiatek, jest bardzo biedny. Chciałbym mu pomóc, ale nie wiem jak...

— Księżyc nie powie... — zanucił ponownie i przerwał westchnieniem.

"Usnął"... — pomyślała Iza.

Zdjęła ostrożnie jego letnie palto, wiszące na poręczu ławki, zwinęła je i delikatnie podłożyła mu pod głowę.

Podniosła się i powoli oddaliła od ławki. Kiedy doszła do Pomarańczarni, poczęła biec. Dobiegłszy do Alei Ujazdowskich wsparła się o drzewo. Przytknęła głowę do jego chłodnej kory. Poczuła słone krople łez na wargach.

— Pozostać tu na zawsze... — wyszeptwała. — Nie wrócić już nigdy do tego lochu...

Plan — zawiódł.

6.

"ŚPIJCIE SPOKOJNIE DZIECI!"

— Chciałam, aby na pamiątkę kasztelaną Wychnowskiego, dać mu na imię Bolesław. Ale skoro Iza upiera się przy Wacławie niech już tak będzie — powiedziała pani Celina Prawdziwy Wychnowska, układając róże w kryształowym wazoniku.

— Najważniejsze, Cesi, że masz wnuka... — uśmiechnęła się pani Natalia Zaremska.

— To racja. Mówię ci Natalio, — wykapany Artur! Już mu się zarysowuje piękny nos Wychnowskich.

— Widzisz jak się niepotrzebnie denerwowałaś!

— Przyznam się, że ten pomysł warszawskiej kuracji był świetny. A ty podejrzewałaś Artura!...

— Zdarzają się różne ułomności, — broniła się słabo Zaremska. — No, ale teraz wszystko przeminęło. Chłopak wygląda silnie, jestem pewna, że będzie się dobrze chować.

Do pokoju wszedł pan Zaremski.

— Czas do kościoła, moje panie — powiedział. — Po chrzcinach czekamy szanowną sąsiadkę w Krężołach... — zwrócił się do Wychnowskiej.

— Rzecz jasna, że przyjadę — podała mu rękę do pocałowania.

* * *

Zmrok zapadał za oknami, przez otwarte okna salonu w Krężołach słychać było świergot układających się do snu ptaków.

Do fortepianu, przy którym zasiadła Stefcia Zarębska, zbliżyła się Iza.

— Kilka miesięcy temu, w Warszawie, kupiłam te nuty, — podała jej oprawiony zeszyt. — Czy nie zechciałabyś mi zagrać? Odeszła i usiadła w kącie pokoju.

— Nie lubię warszawskich melodii — oburzyła się pani Wychnowska — Stefania zna wiele utworów francuskich.

— Zagram na początek coś francuskiego, — zgodziła się Stefcia, uderzając pierwsze akordy walca Czajkowskiego.

— To rozumiem... — wyraziła swoje uznanie Wychnowska.

Kiedy po chwili wyszła z pokoju, Stefcia chwyciła nuty Izy.

Popłynęły pieśni węgierskiej puszy, powróciła opowieść starego wiarusa, powrócił sen księżycowej nocy. Jak echo, dalekie i szczęśliwe, dobiegł Izę szept: "Wiem tylko, że mój kwiatek, jedyny i niezapomniany, jest bardzo biedny. Nie wiem jak mu pomóc..."

Stefcia skończyła grać i spojrzała na siostrę.

— Jakież to piękne... — powiedziała. — Iziuniu, ty płaczysz... Ty płaczysz przeze mnie?... Podbiegła ku niej i objęła ją ramieniem.

— Nie Stefciu... — Iza otarła ręką łzę z policzka. — To przez najcudniejsze miasto na świecie... To przez — Warszawę...

Z sąsiedniego gabinetu ukazał się pan Jan Zarębski. W rękę trzymał gazetę.

— Żyto podskoczyło o trzy kopiejki na korcu — obwieścił. — A w jakimś Serajewie zastrzelono austriackiego następcę tronu, Arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, — ziewnął szeroko. — Śpijcie dzieci.

Dobranoc!

II

Po Sarajewie

7.

MŁODZIENIEC ZE STOLICY

Nigdy nie wiadomo co człowieka czeka.

Znalazłszy się rano na dworcu kolejowym w Kielcach Witold Robowski zapytał przechodzącego tragarza o możliwość dostania się do Szczerkowa. Dowiedziawszy się, że z pobliskiego zajazdu wyjedzie niedługo furka pocztowa do tego miasteczka udał się tam dla zapewnienia sobie miejsca.

Jedynym pasażerem, którego zastał siedzącego już na furce, był komendant placu ze Szczerkowa, lejtenant Franc Vetrovéc.

Robowskiemu przedstawił się łamaną niemczyzną. Okazało się wkrótce, że język polski lejtenanta, jest znacznie lepszy od niemieckiego Robowskiego. W drodze rozmawiali po polsku.

Vetrovéc od pół roku przebywał w Szczerkowie i znał wcale dobrze jego okolicę. Powiedział Robowskiemu, że pragnąc dostać się do Stróży, które były celem jego podróży będzie musiał wysiąść kilka kilometrów przed miasteczkiem i udać się dalej piechotą.

Rozgadawszy się na dobre Vetrovéc zaczął kłąć na Austriaków i ku niemałemu zdziwieniu Robowskiego przepowiedział rychły koniec monarchii Habsburgów.

Był sierpień 1915 roku i nic nie zapowiadało takiej katastrofy.

Pod wieczór furka zatrzymała się na drodze, przecinającej w tym miejscu wspaniały las. Robowski obolały całodziennym trzęsieniem, powlókł się drożyną leśną wskazaną przez Vetrovca.

Robiło się już ciemno, kiedy zobaczył przed sobą zarysy budynków dworskich.

Myśląc, że to Stróże, poszedł śmiało w kierunku dworu i zapukał do oszklonych drzwi ganku.

Po chwili, stanął w nich starszy, siwy pan.

— Zdejm czapkę!... — huknął.

— Bardzo przepraszam — bąknął Robowski, zdejmując czapkę.

— Czego chcesz? — postąpił ku niemu i patrzył nań z góry.

— Przypuszczałem że to Stróże — wyjaśnił. — Mam tam odbyć praktykę rolną, wraz z synami właściciela, moimi kolegami szkolnymi.

— A to sobie wybrałeś miejsce! — starszy pan wybuchnął śmiechem. — Ojciec jołop, synalkowie urwipolcie, a gospodarstwo diabła warte!...

— Nie mniej muszę tam iść. — Robowski schylił się po walizkę. — Czy nie mógłby mi szanowny pan wskazać drogi?

— Dzisiaj już za późno, prześpisz się tutaj, a jutro zobaczymy, — odwrócił się w głąb domu.

— Andrzej! — zawołał.

Jak spod ziemi wyrósł służący.

— Zaprowadź panicza na górę — rozkazał.

Po chwili Witold Robowski znalazł się w małym, przytulnym, pokoiku.

Światło zapalonej lampy ukazało mu czysto wybielone ściany, staroświeckie meble, wielkie łożo naprzeciwko kominka.

— Jedliście już kolację? — zapytał z pewnym niepokojem.

— Kolację podajemy o dziesiątej — wyjaśnił Andrzej. — Pan Anzelm idzie na spoczynek dopiero o świcie. Całą noc czyta książki.

Robowski popatrzał na zegarek. Dochodziła ósma.

— Jestem głodny jak pies — bąknął.

— Przyniosę paniczowi coś z kuchni... — Andrzej nalał wodę do miednicy i opuścił pokój.

Robowski umył się, przebrał w stare przerobione ojcowskie ubranie, zjadł przyniesiony przez Andrzeja potężny kawał kiełbasy z razowym chlebem, usiadł na fotelu i — usnął.

Kiedy się obudził, poczuł się rzeżki i wypoczęty.

Poszedł za Andrzejem do sali jadalnej.

Pan Anzelm siedział już za stołem. Waza barszczu parowała przed nim. Wskazał Robowskiemu miejsce naprzeciwko siebie. Przez cały czas jedzenia nie powiedział słowa. Od czasu do czasu spoglądał bacznie na siedzącego przed nim młodzieńca.

Po kolacji ruchem ręki kazał mu iść za sobą.

Weszli do ogromnego gabinetu.

Trzy ściany aż po sufit, zajmowały tu szafy biblioteczne zawalone książkami. Na środku pokoju, pod żyrandolem, stało wielkie biurko złożone orłami cesarstwa. Kilka głębokich foteli spoczywało na puszystym dywanie.

Pan Anzelm usiadł w fotelu i zaczął nabijać sobie fajkę. Zapaliwszy ją zwrócił się do Robowskiego.

— Jak się nazywasz? — rzucił nie patrząc na niego.

— Witold Robowski.

Pan Anzelm wyjął fajkę z ust. Widać było że się nagle ożywił.

— Czy Wiktor Robowski to twój krewny?

— To mój ojciec — odpowiedział zaskoczony.

— Zналиśmy się w petersburskich czasach — odrzekł powoli pan Anzelm. — Należeliśmy do jednego stowarzyszenia... Co się z nim dzieje?

Robowski spuścił oczy.

— Jak szanownemu panu zapewne wiadomo, ojciec był inżynierem kolejowym. Zmarł na zapalenie płuc przy budowie kolei syberyjskiej.

— Hm... — westchnął pan Anzelm. — Syberia pochłonięła wielu Polaków. No, a teraz mów mi o sobie. Jak sobie dawałeś radę dotychczas, co zamierzasz robić?

Witold rozpoczął opowiadać jak z trudnością, biedując, ukończył gimnazjum Górskiego w Warszawie, o pomocy jaką otrzymał od swojego przyjaciela Szymka Perkowskiego, o tym, że obaj postanowili się poświęcić rolnictwu.

Przez cały czas opowiadania, pan Anzelm patrzył na niego uważnie, a kiedy skończył, zamyślił się głęboko. Zegar wybił drugą po północy, gdy pan Anzelm uściśnął mu rękę na dobranoc.

Wychodząc z gabinetu Robowski odwrócił się, pragnąc przypomnieć swojemu gospodarzowi, że za kilka godzin musi go opuścić i prosić o przewodnika.

Siedział na tym samym miejscu, ale wyraz twarzy miał zmieniony.

Patrzył nad jego głową; tryumfalny — jak mu się wydało — złośliwy uśmiech wykrzywił mu usta.

Instynkt mówił, że prosić go o coś w tej chwili byłoby nierozsądnie.

Wyszedł z pokoju.

Słońce stało wysoko na niebie, gdy się obudził.

Wstał i podszedł do okna.

Ta strona domu wychodziła na park, dobiegający aż do ścian lasu. W tej części był to bór mieszany, dęby, buki, graby, tu i tam bieleły się wysmukłe brzozy. Dalej, ku wschodowi, spływał ku dolinie las sosnowy.

Otworzył okno.

“Pięknie tu” — myślał. “Co za bogactwo! Las wydaje się

nietknięty siekierą od lat. Wybudować tu kilka tartaków i ła-
dować kieszenie — złotem...”

Kończył się golić, kiedy Andrzej przyszedł ze śniadaniem.

Kawa ze świeżą śmietanką, wędzona szynka, dwa rodzaje
chleba, masło, którego dawno nie widział, ciasto.

— To mi wyzerka! — zawołał.

Andrzej położył tacę na stole i zwrócił się ku niemu.

— Paniczu! — wyrzekł drżącym głosem. — Niech panicz
tu zostanie! Po dziesięciu latach pan Anzelm poklepał mnie dziś
po ramieniu i prosił, żebym zapomniał co przez niego przecier-
piałem. Powiedział że teraz, zaczniemy nowe życie... Niech
panicz zostanie w Bukach!

— Dziwy się tu ze mną dzieją, — powiedział do siebie za-
bierając się do jedzenia. — Muszę o tym wszystkim napisać
Szymkowi. Głupi, że głoduje w Warszawie.

8.

TRZY LISTY

Szymek Perkowski z Warszawy, do
Witolda Robowskiego w Bukach.

Warszawa, 18.8.1915.

Kochany Witku!

Jak widzę zaczęła się twoja przygoda. Czy będzie wielka,
czy też mała, przyszłość to pokaże. Myślę, że niedługo odkry-
jesz przyczynę, dlaczego cię zatrzymano w Bukach. Nie ulega
dla mnie wątpliwości, że bez powodu to się nie stało. Kiedy
rozwiążesz zagadkę, będziesz wiedział jak postąpić.

W Warszawie bez zmian. Niemcy się szwędają po ulicach,
bida aż piszczy, wszystko na kartki. Powykręcali już nam na-
wet miedziane kurki z kranów i zabrali wanny. Mieszkam da-
lej na kawalerce na Wierzbowej pod 9-tym.

Zapisałem się na otworzone niedawno kursa rolnicze. Nasza
one szumną i nie bardzo zrozumiałą nazwę “Królewskich Wyż-
szych Kursów Rolniczych przy Muzeum Przemysłu i Handlu”.
Nazywamy je popularnie po prostu “Kursa Rolnicze prof. Mi-
kułowskiego-Pomorskiego”. Nauczyciele i koledzy bardzo mili.
Jest kilku “złotych młodzieńców”, przeważnie synów zamoż-
nych ziemian z Kujaw, którzy starają się nadać “fason” tej
naszej uczelni.

Są nawet tacy, którzy wzięli “na stajnię” co ładniejsze war-
szawskie kokotki. Z pustymi kieszeniami nie mogę im dotrzy-
mywać kompanii. Co uzbieram trochę grosza, to gnam do tea-
tru. W Teatrze Małym, w gmachu Filharmonii wystawiają wo-
dewil “Warszawka i Krakusik”. Miłe melodie, kilka wesołych
piosenek, a ludzie płaczą, jak na dramacie. Wszyscy wierzą, że
po tej wojnie Warszawka i Krakusik, a kto wie, może i Poznań,
podadzą sobie ręce.

W “Mirażu” na Nowym Świecie prym dzierży Stanisław Je-
rzy Kozłowski.

Nieco leciwa panna Borowska, śpiewa o “Rydu”, Henio
Szatkowski recytuje przy własnym akompaniamencie “Babunię
przy klawikordzie”, Gierasieński monologuje jako stróż, sala-

ciarz albo fryzjer warszawski. Mała salka teatru nabita jest co wieczór dwa razy.

Przychodzi coraz więcej wiadomości o Legionach. Większość kolegów na kursach, jest im przeciwna. Jest jednak grupa takich, którzy myślą inaczej.

Zbieramy się czasem na mojej kawalerce i dyskutujemy o tych sprawach.

Praktykuj uczciwie w tych Bukach. Jako zakamienialemu mieszcuchowi przyda ci się to kiedy powrócisz do Warszawy i zapiszesz się na kursa.

Pamiętaj w razie czego, że twoje łóżko u mnie jest nie zajęte.

Ściskam cię mocno,
Szymek.

Stefcia Zaremska z Kręzół, do
Izy Prawdzic-Wychnowskiej w
Uniszkach Murowanych.

12 października 1915.

Najdroższa moja i jedyna!

Stał się cud. Wyobraź sobie, do tego naszego, zabitego deskami partykularza, zawitał ktoś, co jak czarodziej przemienił mój beznadziejny nastrój. Twoja Stefcia nie myśli już o ucieczce z domu i o samobójstwie.

Dwa tygodnie temu Austrijacy kazali tatusiowi przedstawić konie do przeglądu w Szczerkowie. Wobec ponownych bólów w nodze tatuś nie pojechał tylko posłał mnie z Bronikowskim.

Zobaczyłam go, ("czarodzieja" a nie Bronikowskiego), na placu targowym, gdzie się odbywał przegląd. Stał obok koni dostarczonych z Buków. Iziuniu kochana! Gdybyś ty mogła go widzieć! Chłopak wysmukły jak topola, zgrabny, buzia jak malowanie, promieniająca szczerością, śmiejące się oczy. A co za ruchy! Spokojne, godne, opanowane. Cała sylwetka, od pierwszego spojrzenia, budzi ufność nieograniczoną.

Bronikowski zna dobrze rządcę z Buków, Pliszkę. Posłałam go na zwiady. Okazało się, że przedmiotem mojego zachwytu jest nowy tamtejszy praktykant.

Wobec przeciągania się przeglądu, tak sprytnie manewrowałam, że znaleźliśmy się przy tym samym stoliku na obiedzie u Witkowskiego.

Może w to nie uwierzysz: przedstawiłam mu się pierwsza! Wstał z krzesła, pocałował mnie w rękę i powiedział, że nazywa się Witold Robowski. Jest sam, nie ma rodziny, i wydaje się że nie opływa w dostatki.

Zapytał mnie, bardzo naturalnie, jak gdyby od niechcienia, ile włók mają Kręzoły, ile posiadamy koni i krów, czy ziemie są u nas żyzne, jak się przedstawiają tegoroczne zbiory. Widzisz jak się interesuje rolnictwem. Będzie z niego kiedyś zawodowy gospodarz. Interesowała go także nasza rodzina. Pochwalił z uznaniem decyzję Heli i Tereski wstąpienia do klasztoru. O tobie i twoim mężu już słyszał, wie, że Wychnowscy są bogaci. O Bukach mówi z dumą. Zdaje sobie sprawę, że jeśli chodzi o fortunę nikt nie może się równać z panem Anzelmem Kończycem.

W drodze powrotnej Bronikowski, który jadł obiad razem z Pliszką, powiedział, że od chwili pojawienia się praktykanta

w Bukach, pan Anzelm nie jest sobą. Po blisko dziesięciu latach dosiadł konia i objeżdża lasy. Podobno leśniczy Marciniak zem-dlał jak go zobaczył. W Bukach podwyższono wszystkim ordy-narię. Mówią, że Anzelm odwiedził księdza proboszcza w Szczer-kowie i w obecności wikarego, przeprosił go za wszystkie afronty. Pliszka twierdzi, że ten nowy praktykant rzucił czar na An-zelma.

Sądząc po sobie, gotowa mu jestem wierzyć. Modłę się, żeby Austrijacy potrzebowali więcej koni. Tymczasem wypusz-czam się pod lasy Bukowskie. Jak dotąd nie miałam szczęścia. Nie tracę jednak nadziei.

Całuję cię Iziuniu najdroższa,
Twoja odrodzona siostrzyczka,
Stefcia.

Iza Prawdzic-Wychnowska z Uniszek Murowanych, do
Stefci Zarębskiej w Krężołach.

16.10.1915.

Stefciu moja miła!

Oto rezultat samotności, nudy i osiemnastoletnich urodzin.

Wyszła z lasu bogini i myśli, że Paryż padnie do jej stopek. "Evoe! Ach, te boginie, która najpiękniejsza z nich?" Jeśli uz-na, że panna Stefania Zarębska z Krężoł, to napewno będzie miał rację.

Biedny "praktykant!...". Soli orzeźwiających zabraknie w Szczerkowie jak się mama o tym dowie. Ale ja nie zemdleję. Pieniądze, ubranie, — głupstwo. Chodzi o człowieka. Pozory tak często mylą! Oby ta "godna zaufania sylwetka", nie zawiodła twoich oczekiwań.

Piszesz mi, że "Parys", oczarował pana Anzelma Kończycza.

Jeśli wążesz z tym jakieś nadzieje materialne, to obawiam się, że się zawiedziesz. Pominąwszy to, że ten schorowany dzi-wak jest nieobliczalny, jedynym jego spadkobiercą jest młodszy brat, Rudolf.

Spotkałam go przypadkiem będąc z wizytą u Korskich. Stracił on nie tylko odziedziczony majątek, ale obecnie ban-krutuje na posiadanej dzierżawie, przez nałogowe pijaństwo.

O trzydzieści lat młodsza od niego żona, Monika, (skąd się tu wzięła?), nie tylko jest bardzo przystojna, ale odznacza się zadziwiającym sprytem. Przegranie procesu o ubezwłasnowol-nienie Anzelma, podczas jego pobytu w sanatorium, nie znie-chęciło jej do walki o jego fortunę.

Jestem przekonana, że za sromotne wyrzucenie ich z Bu-ków, będzie się mściła do ostateczności. Rudolf jest biernym narzędziem w rękach młodej żony.

Tak czy inaczej prawo spadkowe jest po jego stronie.

Ale, Stefciu miła, mimo to, że twój "czarodziej" zdaje się nigdy nie będzie gospodarował na swoim własnym kawałku zie-mi, nie przejmuj się tym zbytnio.

Szczęścia nie liczy się na morgi i na sęgi drzewa. Poza wspaniałym szyldem nazwiska, można znaleźć — próchno. A fortuny? Mój Boże, ile ich zniknęło i nikt już o nich nie pa-mięta.

Jak matka mojego męża wyjedzie do Krakowa postaram się zaprosić "Parysa" do Uniszek.

Jestem uodpornią na "uroki" i być może lepiej będę mogła go ocenić.

Nie ruszam się nigdzie z domu. Wacuś, po swoich pierwszych urodzinach, coś niedomagał. Przykładam mu ciepłe kompresy na brzusek.

Może wpadniesz do mnie którego dnia. Przecie dzieli nas tylko niecała godzina drogi.

Kochająca cię siostra,
Iza

9.

PRAKTYKANT

Witold Robowski stał pod drzewem na skraju lasu i patrzył na sunący po polu siewnik.

Mimo życzliwego przyjęcia przez wszystkich mieszkańców Buków ta praktyka rolnicza zaczęła go nudzić.

Starał się nie okazywać tego po sobie. Rano, przy udoju, kiedy wypisywał kredą ilość mleka na tablicy w oborze, ukrywał ziewanie.

W rozmowach z panem Anzelmem i rządcą Pliszką, był ożywiony, zadawał im natarczywe pytania, mogło się wydawać, że interesuje się wszystkim. Naprawdę poświęcał tylko dużo uwagi — kalkulacjom. Rachował ile może być zboża w każdym stogu, ile dochodu przynosi mleko i masło, co można zarobić na owocach i warzywach, ile funtów karpia wyławia się ze stawów. Zagadkę stanowiły dla niego — lasy. Wiedział tylko, że są rozległe, piękne i bardzo stare.

"Gdybym ja mógł tutaj rządzić" — przemysliwał. — "Pieńki płynęłyby jak rzeka..."

W oddali, na drodze, zobaczył jadącą wolno "linijkę".

Widok zbliżającego się nią pana Anzelm'a oderwał go od drzewa. Pobiegł szybko poza krzakami na skraj pola, do którego zbliżał się siewnik. Poszedł za nim w kierunku drogi.

— Dużo ci jeszcze zostało do zasiania? — uśmiechnął się ku niemu pan Anzelm.

— Myślę, proszę pana, że skończymy przed wieczorem — odpowiedział. — Tylko trzeba bardzo uważać na naszą starą "Westfalię" — wskazał na siewnik, — tryby przeskakują. Ale ja to naprawię...

— Widzę, że niedługo nauczysz się wszystkiego. — Kończąc objął go ciepłym spojrzeniem. Na pewno przyda ci się to w przyszłości.

— Staram się jak mogę — odpowiedział skromnie.

Stado wron poderwało się przed siewnika. Robowski wziął konia za uzdę i ostrożnie zawrócił na drodze linijkę.

Nieprzebrany skarbcem wiedzy rolniczej był rządcą Buków, Pliszka. Pan Anzelm nie wtrącał się do niczego. Pliszka, pozostawiony sam sobie, gospodarował znakomicie. Urodzony w Bukach znał każdy zagon, każdą miedzę i ścieżkę.

Podzielił pola zależnie od rodzaju gleby, pilnował ściśle płodozmianów, które zmieniał tylko od czasu do czasu, po przeczytaniu w "Gazecie Rolniczej" odpowiedniego artykułu.

Przekonawszy się, że rady tego tygodnika są doskonałe, cenili go wielce i układał starannie wszystkie numery obok książeczki do nabożeństwa na półce.

Gdyby Robowski naprawdę pragnął poznać rolnictwo, nie mógłby znaleźć lepszego profesora.

"Czar" praktykanta nie podzielał na Pliszkę.

Cieszyło go tylko, że wraz z jego pojawieniem się w Bukach, pan Anzelm poweselał i prawie codziennie odwiedzał go w rządówce.

Nie znając poprzednio pana Anzelma, nie zdawał sobie sprawy, jak wielka zmiana nastąpiła we właścicielu Buków.

Nieco wyobrażenia o tym, dawały mu rozmowy z Andrzejem, który odwiedzał go w niedzielne popołudnia i chętnie odpowiadał na pytania.

Jednego takiego popołudnia, stary służący był wyjątkowo rozmowny.

— A tak, były bitwy w okolicy w zeszłym roku — ciągnął opowiadanie. — Ale najgorszą to mieliśmy tutaj, we własnym domu...

— Co się działo?

— To było tak: pan Anzelm, przed samą wojną, musiał jechać do Petersburga, dla załatwienia jakichś interesów. Przyszli tu Austriacy. Pan Anzelm przepadł. Chodziły gadki, że go po drodze ubili. Wtedy to w Bukach zjawił się pan Rudolf, co się niedawno ożenił. Zawołał nas do gabinetu, gdzie czekał razem z żoną panią Moniką. Wyglądała tak, że mogła być jego córką. Łyskała na nas czarnymi ślepiami, a sukienkę to miała podwiniętą aż za kolana.

— Teraz tu nastaną inne porządki, — powiedział pan Rudolf. Od dziś ja tu rządę i moja żona. Kto się nie będzie nas słuchał — won z Buków.

Odebrał mi klucze od piwnicy a panu Pliszce kazał uszykować dwa konie pod siodło. Jednego dla siebie a drugiego dla tej młodej żony. Zaczęły się ich rządy. Nasprowadzali z miasta jakichś obieżyświatów, pili całymi nocami i grali w karty.

Ale to jeszcze nic. Zakwaterował się w Bukach pułk austriackich dragonów... Zajęli wszystkie budynki, cały dwór, ba, powyrzucali ludzi z czworaków. Myślałem że państwo Rudolfowie nie będą radzi. Gdzie tam! Dopiero teraz zaczęło się prawdziwe bezeczeństwo. Orkiestra grała po nocach, śpiewali po szwabsku, pili na umór, a ta Monika przebierała w oficerach jak w ulegalkach. Co który jej się spodobał, ciągnęła do swojego pokoju do łóżka. Pan Rudolf od rana do wieczora był pijany, zresztą inni oficerowie go pilnowali.

"Póty dzban wodę nosi, aż mu się ucho nie urwie". Urwał się którejś nocy. Przyjechał do Buków ich Oberst. Wysoki mężczyzna, kołnierz miał wyłożony, wstażki od medali na pierśsiach, a twarz widziała mi się nie obca, ale jakaś — swoja.

Siedział w salonie po kolacji i wydawało się, że śpi. Ale nie spał.

Oficerowie tańczyli jak zwykle i popijali. Pan Rudolf leżał na kanapie i chrapał. Ta latawica, upatrzyła sobie dryblasę o ryżej czuprynie i takiej skórze jak u prosiaka. Dwie gwiazdki miał na kołnierzu. Tańczyła tylko z nim i wyciągnęła go z salonu. Zbierałem właśnie kieliszki i wyszedłem za nimi. Anim się opatrzył a ten Oberst minął mnie w korytarzu. Jeszcze nie

zdażyli zamknąć drzwi od sypialni, kiedy je kopnął i zostawił otwarte. Przystanąłem, nie wiedząc co robić.

Oberst podszedł do tego dryblasza i chlast go w pysk! Raz z jednej, raz z drugiej strony. Dryblas stał jak skamieniały. Tylko twarz zrobiła mu się bardziej blada. Oberst obrócił się do niej.

— Pani nosi polskie nazwisko! — powiedział. — Proszę natychmiast wracać do męża i położyć go do łóżka.

Tej samej nocy dragoni opuścili Buki.

W pokoju zrobiło się szaro, Andrzej zaczął skręcać sobie papierosa.

— Ale ta bitwa? — Robowski dopominał się o dalszy ciąg opowiadania.

— Ano, — ciągnął Andrzej, — któregoś dnia usłyszeliśmy we wsi strzelaninę. Ruski przyszy, kozaki, sybiraki, czort wie kto. Nie naprzykrzali się tak jak Austriacy, nawet przez te kilka dni jak tu byli pomagali trochę w gospodarstwie.

Pan Rudolf postanowił zaprowadzić własne porządki. Zawołał pana Pliszkę, Marciniaka i mnie do gabinetu.

— Teraz droga do Warszawy jest wolna, — powiedział. — Możecie tam jechać, ja was więcej nie potrzebuję.

Tego samego dnia, zaczęliśmy ładować wóz drabiniasty dobytkiem, pana Pliszki. Marciniak też dowiózł swoje graty z leśniczówki.

Pomagałem właśnie dźwigać jego kufer, kiedy usłyszałem czyjś głos za plecami.

— A wy co tu robicie?

Odwrociłem się i mało nie upadłem na ziemię: pan Anzelm!

Brudny, obszarpany, ale on we własnej osobie.

Weszliśmy do rządówki i pan Pliszka opowiedział co się dzieje.

Pan Anzelm kazał zrzucić wszystko z woza i zajechać przed dwór. Wyrwał fernalowi bat z ręki i wszedł do środka. Co się tam stało nie wiem. Po chwili zobaczyliśmy na ganku pana Rudolfa z żoną. Pan Anzelm stał za nimi z batem w ręku. Wbiegłem do domu, łapu-capu zebrałem ich rzeczy i wpakowałem na wóz.

— Odwieź ich do granicy Buków! — pan Anzelm trzasnął drzwiami aż dwie szyby wyleciały.

10.

ANIOLEK

Śnieg gęsto padał za oknami, od strony czworaków słychać było dźwięki harmonii.

Zbliżał się Nowy Rok.

Do gabinetu, w którym siedzieli pan Anzelm z Robowskim, wszedł Andrzej z naręczem szczap dębowych, które zaczął dokładać do płonącego na kominku ognia.

Pan Anzelm podszedł do biurka, na którym rozłożone były plany.

— Jak widzisz — pochylił się nad biurkiem, — ziemi ornej mamy stosunkowo niewiele. Są stawy rybne i jest sporo łąk. Największym skarbem Buków są — lasy. Dobrze będzie jak się

z nimi zapoznasz. Polecilem już Marciniakowi, aby ci pokazał szkółki drzew, a potem rewir po rewirze. Przedstawi ci on także rachunki z wyrębów. Nie ma ich wiele. Lasy rosną na chwałę Bożą. Dawaliśmy sobie radę bez ich rąbania.

Robowski niejednokrotnie się zastanawiał nad przyczyną wtajemniczenia go w sekrety administracji majątku pana Anzelma.

Początkowo myślał, że po zakończeniu rocznej praktyki, poproszą go delikatnie aby opuścił Buki.

Front wojenny odsunął się daleko na wschód, cała Polska znalazła się pod niemiecko-austriacką okupacją. Poruszanie się po kraju nie przedstawiało trudności. Wykręcanie się komplikacjami transportowymi było niemożliwe.

Nie uśmiechał mu się powrót do wygłodzonej Warszawy.

Podczas każdej poufnej rozmowy z panem Anzelmem czuł jak miłe dreszcze przechodzą mu po krzyżu.

"Stary coś knuje..." — myślał — "Traktuje mnie jak syna..."

Starał mu się przypodobać wszelkimi sposobami.

Wiedział o wrazeniu jakie zrobił na Stefci Zarębskiej. Widział ją kilkakrotnie jak jechała konno wzdłuż bukowskiej granicy. Postanowił jednak czekać cierpliwie na pokazanie swojego sukcesu wobec liczniejszego towarzystwa.

Minione niedawno święta Bożego Narodzenia, upewniły go że pan Anzelm ma poważniejsze zamiary w stosunku do niego.

Na początku grudnia rządca Pliszka pojechał do Krakowa.

W rezultacie jego wyprawy pod choinką w salonie pojawił się kosz, przybrany świerkowymi gałązkami. Na jego pokrywie widniała kartka: "Praktykantowi — od Aniołka."

W koszu, znalazł znakomicie dopasowane ubranie (teraz dopiero się domyślił, dlaczego Andrzej "prasował" jego wywiechtany garnitur przez cały tydzień), kilka par obuwia, bielezna, a nade wszystko pudło skórzane ze swoim monogramem, a w nim złożoną dubeltówkę, "Francotte".

Były to prezenty, na które zwykły praktykant nie zasługiwał.

Pan Anzelm usiadł w fotelu.

— Po Nowym Roku, przygotuj się na wyjazdy — powiedział. — Już jutrzejszy wieczór spędzimy u Zarębskich w Krężołach. Potem, jedziesz ze mną do Kielc. Serce mi coś ostatnio przypomina o sobie, muszę odwiedzić doktora i załatwić jedną małą sprawę.

Robowskiego przeszły miłe, znane dreszcze.

— Proszę pana, czy ja naprawdę muszę jechać do Krężoł? — zapytał niewinnie.

— A cóż to znowu; chcesz sam siedzieć w domu w dzień noworoczny?

— Nie, ale widzi pan...

— Nic nie widzę.

— Ja spotkałem raz Stefanię Zarębską — spuścił oczy ku ziemi, — i bardzo mi się podobała...

Pan Anzelm wybuchnął śmiechem.

— Ejże głuptasie! To dlatego, że ci się podobała nie chcesz jej widzieć?!

— Dlatego — powiedział prawie szeptem, — że nie chcę, żeby się rozczarowała. Kimże ja jestem? Co ja mam? W ziemiańskim domu będę tylko intruzem...

Pan Anzelm podszedł do niego i ujął jego głowę w swoje ręce.

— Ziemianie są takimi samymi ludźmi jak i ty. Jutro się o tym przekonasz. Musisz się do nich przyzwyczaić, kochany chłopcze. Kto wie, może Stefcia Zarębska ci do tego pomoże...

Trzaskanie z batów na dziedzińcu przed dworem obwieściło północ.

Rozpoczął się rok 1916.

— Mam starego w małym palcu! — zaśmiał się Robowski zasypiając.

11.

“USTA MILCZĄ...”

— Chwalaż ci Panie! — zawołał pan Jan Zarębski schodząc z ganku do sanek którymi przyjechali Anzelm Kończyc z Robowskim. — A już moje panie przepowiadały, że sąsiad nie przyjedzie!

W przedpokoju powitała ich pani Natalia Zarębska. Miała na sobie nieco staromodną suknię “w kwiaty”, podwójny sznur pereł zdobił jej wydatny biust. Przywitała się z panem Anzelmem; mogło się wydawać, że nie dostrzegła Robowskiego. Od rządcy Bronikowskiego wiedziała, że zjawił się w Bukach bez grosza i w podartym ubraniu.

Pan Anzelm popchnął go lekko przed siebie.

— Pozwoli pani przedstawić nowego praktykanta Buków — wyrzekł. — Nazywa się Witold Robowski.

Pani Zarębska podała mu końce palców do pocałowania — i spojrzała znacząco na męża.

Weszli do salonu.

Robowski przedstawiony gościom przez pana Zarębskiego, czuł się coraz pewniej. Jego nowy smoking wyróżniał się wśród tużurków i dobrze już wysłużonych — fraków.

Wszyscy witali go bardzo uprzejmie. Wydawało mu się że znalazł się pomiędzy równymi, że jest w swoim towarzystwie. Nawązał rozmowę z wysokim, barczystym sąsiadem Kręzół Arturem Prawdzic-Wychnowskim, który był zięciem gospodarzy.

W pewnej chwili, w bocznych drzwiach, zobaczył Stefanię.

Ubrana była w szafirową sukienkę, obszytą srebrną lamą. Włosy koloru kasztanu, miała spięte srebrną klamerką. Dostrzegłszy go, poszła wprost ku niemu. Kiedy przechodziła koło matki, pani Zarębska się odwróciła.

— To jest praktykant z Buków, — wskazała niechętnie w jego kierunku.

— Ależ my się, mamu, dawno znamy! — wyciągnęła obie ręce ku Robowskiemu.

Pani Zarębska spojrzała uważnie na córkę.

— Idź do swojego pokoju, Stefano, — rozkazała — zaraz tam przyjdę.

— Nie pójdę! — szepnęła jej do ucha Stefcia.

— Idę do ojca! — pani Zarębska wypłynęła z salonu.

Znalazła męża siedzącego w kancelarii z panem Anzelmem przy kieliszku wina. Zanim zdążyła otworzyć usta, Zarębski odgadł z wyrazu jej twarzy co się stało.

— Stefcia? — zapytał.

— Wyrodne dziecko. Do czego to doprowadzi... — popatrzała z wyrzutem na pana Anzelma.

— Właśnieśmy o niej rozmawiali — uśmiechnął się pan Zarembski. — Sąsiad mi mówi, że młodzi się już dawniej poznali i polubili.

— Polubili... — jęknęła pani Zarembska.

— Powiedział mi także, że jeśli dojdzie co do czego, to nie potrzebujemy się martwić o ich przyszłość.

— Buki stać na wyposażenie jednego praktykanta — zaśmiał się Kończyc, podając kieliszek wina oniemiałej matronie.

Kiedy wróciła do salonu, Robowski i Stefcia wirowali w walcu.

— „Usta milczą... Serce śpiewa...” — nucił do uszka Stefci „czarodziej” z Buków.

— „Kocham cię...” — odpowiadało jej serduszek.

— „Będzie moja...” — stwierdził w myśli, odprowadzając ją po skończonym walcu do kanapy.

12.

REJENT OZAREK ZNA SIĘ NA LUDZIACH

Kilka dni później, wczesnym rankiem, Andrzej wszedł do sypialni pana Anzelma i położył tacę ze śniadaniem na stoliku.

— Siadaj, stary, i słuchaj uważnie, — podniósł do ust filiżankę kawy.

Andrzej usiadł na krawędzi łóżka.

— Dziś, kiedy się dobrze ściemni, wyjeżdżam z Witkiem do Kielc. Powiesz Pliszce, żeby wydał cugowym podwójne obroki. Nikt nie ma o tym wiedzieć. Mateusza zawiadomisz o czasie wyjazdu, gdy ci to powiem. Ma zajechać nie przed dom, ale pod bramkę na końcu parku. Ty sam, rozpowiesz wszystkim, że jestem chory, leżę w łóżku i nikogo nie chcę widzieć. Jedzenie będziesz nosił do sypialni. Możesz nim karmić Dianę. Jak będą pytać o panicza, powiesz, że pojechał po poradę do doktora i po leki dla mnie. Sypialnię zamykaj na klucz. Dawaj bacznie na ogrodnika. Coś mi się tak wydaje, że to on donosi im o wszystkim co się dzieje w Bukach. Znają każdy mój krok i li-cho wie co tam knują w tych szatańskich mózgach.

Niebo skrzyło się gwiazdami, księżyc jasno świecił.

Pan Anzelm z Robowskim przemknęli się niespostrzeżenie pokrytymi śniegiem alejkami parku i wsiedli do sanek.

O świcie zajechali przed Hotel Bristol w Kielcach.

Robowski spał do południa. Zapukawszy do pokoju Kończyc, nie otrzymał odpowiedzi. Musiał wcześniej wyjść na miasto. Spotkali się na obiedzie w restauracji hotelowej.

Pan Anzelm był w znakomitym humorze. Przy czarnej kawie z benedyktynem podał Robowskiemu karteczkę.

— Przeczytaj adres i staw się tam o 4-tej godzinie. Ja idę się trochę przespać.

Robowski odczytał kartkę: „Piotr Ozarek. — Rejent” — wstrzymał oddech w piersiach.

Jechał galopem do celu. Był dumny z siebie. Tanecznym

krokiem wszedł do mrocznej kancelarii, w której za biurkiem zawalonym papierami oczekiwał go siwy staruszek.

— Niech pan dobrodziej usiądzie — wskazał mu miejsce na pokrytej ceratą kanapie.

“To jakiś dziwak...” — pomyślał Robowski. — “Nawet nie podał mi ręki”.

Rejent patrzył na niego dłuższą chwilę spod przymkniętych powiek.

— Chodzi o podpisanie jednego dokumentu — wyrzekł wreszcie: otóż pan Anzelm Kończyc, jest już starym człowiekiem i nie cieszy się dobrym zdrowiem. Niezadługo ma zamiar wyjechać do Wiednia dla przeprowadzenia kuracji. Na mocy tego dokumentu — wskazał na leżący przed nim papier, — oddaje on dobrodziejowi Buki w administrację poręczającą. Podpisem który ma dobrodziej złożyć na tym dokumencie, zobowiąże się do wypłacania mu dożywotniej skromnej — jak na taka fortunę, — renty.

Cały zarząd majątku, przechodzi na dobrodziejów.

Robowski ujął pióro do ręki, i zamasyście podpisał dokument.

Rejent Ożarek, wpatrzył się w drzwi, które się zamknęły za nim.

— Coś mi się wydaje, że Anzelm pospieszył się za bardzo ze swoją decyzją... — mruknął. Daj Boże żebym się pomylił...

13.

AMAZONKA

Następnego dnia, przed wchodem słońca, byli w Bukach.

Po śniadaniu Robowski poszedł do podwórza. Kiedy mijał bramę, podbiegł do niego chłopak od ogrodnika i podał mu kopertę.

“Kochany Panie Witku” — począł odczytywać niewyraźnie skreślone litery, — “Dla własnego dobra, proszę o widzenie się ze mną. Będę czekała w sobotę wieczorem w karczmie na Chaszczy przy starym trakcie. Na pewno nie pożałuje pan naszego spotkania.

Życzliwa “Amazonka”

“A więc nie zapomniała o mnie...” — pomyślał wkładając list do kieszeni.

Kilka miesięcy przedtem, późną jesienią, jadąc konno, usłyszał wołanie: hop! hop! — niosło się echem po lesie. Zsiadł z konia i poszedł przedzierając się przez krzaki ku owemu głosowi.

W pewnej chwili, nieoczekiwanie, stanęła przed nim młoda kobieta.

Uderzyła go jej niezwykła uroda. Biała bluzeczka falowała na piersiach, męskie spodnie do konnej jazdy uwydatniały długie, zgrabne nogi. Czarne, lśniąco oczy wpatrywały się w niego.

— Uwiązałam konia do gałęzi, — roześmiała się — poszłam zebrać trochę jagód, a jak powróciłam, konia już nie było. Urwał gałąź i uciekł zapewne do domu...

Kiedy patrzył na nią bez słowa, oszołomiony nagłym spotkaniem, ujęła go za rękę i powiedziała:

— Chyba mnie pan nie zaaresztuje za te jagody. Można powiedzieć, że one są własnością rodzinną. Nazywam się Monika Kończyc.

Robowski przedstawił się.

— W czym pani mogę pomóc? — zapytał.

— Nie znam tu drogi, niech mnie pan odprowadzi do traktu.

— Będzie doń dobre pięć kilometrów... — powiedział podchodząc do konia.

— Siadę za panem, nawet się nie obejrzymy jak staniemy na trakcie. Stamtąd już niedaleko będę miała do domu...

Podał jej ramię i podsadził na konia. Objęła go wpół, i pojechał stępą omijając zwieszające się nisko gałęzie drzew.

— Pan jest praktykantem w Bukach?

Musnęła go włosami po skroni.

— Tak proszę pani.

— I nie nudzi się panu tak samemu w tym ponurym domu?

— Uczę się. Nie mam czasu na nudy...

— Jest taka wiedza, której się pan w Bukach nie nauczy, przycisnęła się silniej do niego.

— Jaka?

— Proszę się domyśleć...

— Wiedza, której nauczycielki, spotyka się w lesie na jagodach? — roześmiał się wesoło.

— Kto wie, kto wie... — odrzekła powoli. — Przypadkowe spotkania często decydują o naszych losach...

Kiedy się zbliżali do traktu, przechyliła się i zajrzała mu w oczy.

— Podobam się panu?... — zapytała szeptem.

Poczuł jej ciepły oddech na policzkach.

— Owszem, nawet bardzo... — odpowiedział.

Dojechali do traktu.

— Może uda się nam widywać od czasu do czasu. — Wspierała się na jego ramionach i zsunęła z konia.

Objął jej kibić, pomagając dosięgnąć ziemi.

Nagle przyciągnęła go do siebie i pocałowała.

Ten pocałunek, spędzał mu sen przez wiele nocy.

Pod koniec ubiegłego stulecia, przy budowie nowej szosy, odcięto kilkanaście kilometrów traktu od głównej arterii. Trakt, biegnący przeważnie przez las, zarósł drzewami z samosiewu, krzakami i chwastami. Tylko u jego boku biegła mała dróżka używana do wywozu ściętych na porębach sosen.

W wąwozie, nad strumieniem stała kiedyś wielka karczma. Pozostały z niej ruiny. Mało kto wiedział, że w tylnej izbie, pokrytej na wpół zawalonym dachem, znajduje się jedna z kryjówek nieuchwytnego kłusownika — Gawrycha.

W sobotę, późnym wieczorem Robowski zsiadł z konia przed karczmą.

W głowie mu nie powstało, że mógł tu ktoś mieszkać. Uważał konia do żerdzi i obszedł karczmę dookoła.

— Panie Witku! — Hop, hop! — usłyszał dobrze zapamiętane z lasu wołanie.

Odwrocił się.

W niskich, wypaczonych drzwiach stała Monika. Zapinała okrywającą ją popielatą bekieszkę.

— Proszę wejść do środka... — odsunęła się robiąc mu przejście.

Zbliżywszy się stwierdził, że była piękniejsza niż w czasie pierwszego spotkania.

Wszedł do małej izdebki niespodziewanie czystej i dokładnie zamiecionej. Żelazny piecyk rozpalony był prawie do czerwoności. Wyрко pokrywała bielutka pościel. Kilka skór baranich zwieszało się z jego poręczy.

— Proszę zdjąć kozuszek i usiąść, — podsunęła mu krzesło. — Myślał Witk o mnie? — usiadła na krawędzi naprzeciwko niego.

— Myślałem...

— Czułam to dobrze, bo i ja myślałam...

— Jakaż to szkoda, że w naszej sytuacji, trudno jest coś myśleć.

Poczęstował ją papierosem. Zaciągnęła się dymem.

— Otóż nie. — zaprzeczyła. — Postarałam się o nasze spotkanie właśnie dlatego, żeby się z Witkiem podzielić myślami. Czy mogę być szczerą? Czy mogę mówić tak, jakbyśmy się znali od dawna?...

— Ależ, naturalnie!

— Wiem że ludzie źle o mnie mówią, — westchnęła. — Ale czy znają moje życie? Czy wiedzą, że u boku pijaka bliska jestem szaleństwa? Zdawało mi się że nie ma dla mnie ratunku. Do czasu naszego spotkania w lesie. Było ono objawieniem. Po tym dniu, zrozumiałam, że nie wszystko stracone, że przecie można znaleźć szczęście na świecie...

— Miłość od pierwszego spojrzenia? — przysunął się do stołu.

— Można to i tak nazwać, — pochyliła się ku niemu. — Myślałam nie tylko o sobie. Bo jakaż jest nasza sytuacja, panie Witku. Moją pan już zna, a pan? Praktykant bez grosza, — wszyscy o tym wiedzą, — zdany na łaskę człowieka, który niedawno opuścił dom obłąkanych i który, jak mu coś strzeli do głowy, wyrzuci pana na bruk. Ale on długo nie pożyje. Serce ma słabe, raz po raz posyła go po doktora. Co się stanie po jego śmierci? Mój mąż jest jego jedynym spadkobiercą. Jak odziedziczy Buki zaprzepaści je tak, jak poprzedni majątek. Ale i on długo nie pociągnie. Pije od rana do nocy. Nie przeszkadzam mu w tym. Niech się zapije na śmierć. Pozostajemy my dwoje, młodzi, życie jest przed nami. Po tym spotkaniu w lesie, nabrałam pewności, że jeśli połączymy nasze wysiłki, znajdziemy — szczęście.

Ześlizgnęła się ze stołu i wpatrzyła w niego. Pod wpływem jej wzroku, poczuł, że krew pulsuje mu w skroniach. Widział ją jak przez mgłę. Stała tak przez chwilę bez ruchu, poczem powoli zaczęła się zbliżać ku niemu. Rozpięła bekieszkę i rzuciła ją poza siebie, na stół. Wsunęła mu się zwinnym ruchem na kolana. Poczuł jak językiem stara się rozchylić jego wargi. Oddał pocałunek.

— Teraz już wiem, że się zrozumiemy... — przycisnęła się mocno do niego. — Chodźmy do łóżka, — wyszeptała. — Zdecydowałam się na to już dawno...

Było po północy, kiedy wstał i zaczął się ubierać. Monika, w narzuconej na koszulkę bekieszce, dorzuciła trochę chrustu do piecyka, i postawiła na stole butelkę oraz kieliszki.

— Węgierski tokaj, — powiedziała, — umiem dbać o wszystko... — podała mu kieliszek.

— Cóż za kobieta!" — myślał patrząc na nią. "Przecie te, które przedtem miałem to kłoce drzewa, nie warte wspomnienia. Po godzinie spędzonej z nimi brało mnie obrzydzenie. Z tą mógłbym leżeć do nieskończoności..."

— Rozważmy teraz spokojnie plan naszego działania — Monika wychyliła kieliszek tokaju.

— Myślę, że lepiej zrobisz, jeśli mnie przedtem wysłuchasz, Moniko, — przerwał jej niepodziewanie.

Popatrzała na niego zdziwiona.

— Dobry początek, — roześmiała się, — już mówimy sobie po imieniu. Słodki był ten "bruderszaft"... — wskazała na wyrko.

— Tak, — przyznał — możemy go powtarzać ile razy zechcesz. Ale po nocy, przychodzi zawsze dzień. O dniu chcę mówić.

— Umieram z ciekawości! — zawołała wesoło.

— Otóż, — ciągnął, — zdaje się że bardzo się mylisz co do pana Anzelma. Mam poważne powody do przypuszczenia, że nosi się w stosunku do mnie z poważnymi zamiarami. Cała służba w Bukach wie, że uważa mnie za — syna. Wtajemnicza mnie w administrację majątku, wiem w jakich bankach przechowuje pieniądze, mówi mi o wszystkim.

Nalał wino i podał Monice kieliszek.

— Za zdrowie przyszłego dziedzica Buków! — roześmiała się.

— Być może nie pomyliłaś się, Moniko. — powiedział poważnie. — Ale, choćby się tak stało, moje plany sięgają dalej w przyszłość. Jestem tu w okolicy przybłądą. Muszę się postarać zdobyć taką, która mnie zrówna ze wszystkimi. Nie przejmuj się tym zbytnio: myślę o małżeństwie.

Monika patrzyła na niego, zdając się nie rozumieć.

Spostrzegłszy jej zdumienie ujął ją za rękę.

— Przecież i ty jesteś zamężną, — powiedział. — To nie przeszkadza, żebyśmy się jak najczęściej widywali. Mając pieniądze i stanowisko, będę mógł stokroć łatwiej okazać moje uczucie dla ciebie. Da się to wszystko zorganizować dyskretnie, z korzyścią dla nas obojga.

— Więc to tak... — powiedziała ledwo dosłyszalnie, — fortunka i pozycja zapachniały panu praktykantowi...

Udał, że nie dosłyszał tych słów.

— Po tej nocy, — wyrzekł — wiem, że nasze losy się zbiegły i może w przyszłości, pójdziemy jedną drogą...

Słarczysty mróz wdarł się do izby kiedy zamykała drzwi za nim.

Odwrociła się i popatrzała na wyrko.

— Szczeniak, myśli, że to o niego chodzi! — roześmiała się głośno — Niedługo dostanie nauczkę na jaką zasłużył...

Do izby wszedł Gawrych.

— Powiedzieliście, że jak gach wyjedzie, to mam tu przynść... — położył ucięty karabin na stole. — Ano, pojechał, a na dworzu zimnisko okrutne.

— Siadaj, Gawrychu, — podsunęła mu kieliszek. — Teraz to my sobie pogadamy...

15.

MAŁŻENSTWO

— Patrz na moje plecy! — Monika jednym szarpnięciem rozdarła suknię, ukazując czerwoną pręgę na plecach. Tak mnie twój braciszek napiętnował batem. Zostanie mi na całe życie!

Rudolf, popatrzał zamglonymi oczami na żonę.

Prawie próżna butelka wódki stała przed nim.

— Mówię ci, że jednego dnia nie ma do stracenia. Stary wariat zadurzył się w tym gówniarzu. Sam mi powiedział, że ma "poważne zamiary" wobec niego.

Podeszła do stoliczka stojącego przy łóżku. Wyjęła z szuflady rulon owiniętych w papier pieniędzy i rzuciła go na stół.

— Pięćdziesiąt rubli w złocie. Ostatnie grosze, które mi się udało zabrać z Buków. Nie bój się: zwrócą się stokrotnie. Musisz je dziś oddać Gawrychowi. Ten łotr w każdy poniedziałek objężdża lasy...

— W każdy poniedziałek... — Rudolf wyciągnął rękę ku butelce.

Odrzuciła ją ze złością.

— Nie pij! — wykrzyknęła. — Słuchaj co ci mówię, bo mnie tu jutro nie będzie. Za chwilę jadę do Kielec. Lipszyc przegrał nam jeden proces ale tym razem nie przegra. Muszę się z nim widzieć. Będę na ciebie tam czekała.

— Monisiu, jeszcze tylko jeden kieliszek... — Rudolf żałośnie popatrzał na butelkę.

16.

PONIEDZIAŁEK

W poniedziałek o godzinie 9 rano:

— wzdłuż parku, jechał konno pan Anzelm;

— w rządówce Pliszka i Robowski ślęczeli nad rachunkami omłotów i rozchodami obroków;

— leśniczy Marciniak odmierzał miarką proch i śrót, wysypywał do gilz od nabojęw i zakładał je do umocowanej na stole maszynki;

— na beczce, w dawnym magazynie Spółdzielni Rolniczej w Szczerkowie, siedział z ołówkiem w ręku lejtenant Franc Vetrovéc. Kapral Bastos liczył przed nim puszki gulaszu, worki pencaku, onuce i podkowy;

— w kancelarii adwokata Lipszycy w Kielcach Monika paliła papierosa za papierosem.

W poniedziałek o godzinie 10-tej:

— Gawrych zeszedł z traktu na drogę prowadzącą do leśniczówki. Wcisnął się pomiędzy dwa sągi drzewa, zrobił sobie podpórkę i oparł na niej ucięty karabin.

— Adwokat Lipszyc powrócił do swojej kancelarii i zamunikował Monicę, że dzięki łapówce, jaką dał kanceliście pracującemu u rejenta Ożarka, dowiedział się od niego o aktach, które kilka dni przedtem, podpisał u rejenta - Anzelm Kończyc.

— Administracja majątku przeszła już na praktykanta Witolda Robowskiego. Na mocy sporządzonego testamentu w razie śmierci Kończyca Buki staną się jego wyłączną własnością. Rozpoczęcie jakichkolwiek kroków sądowych uznał Lipszyc za niemożliwe.

— Lejtenant Vetrovec, oświadczył kapralowi Bastosowi że marnują czas, albowiem gulasz i pencak nie uratują Austrii od niechybnej klęski. Gwizdnąwszy na psa Vetrovec udał się na spacer.

— Pan Anzelm skrzył z traktu na drogę prowadzącą do leśniczówki.

W poniedziałek o godzinie 11-tej:

— leśniczy Marciniak, usłyszał daleki strzał.

W poniedziałek o godzinie 12-tej:

— We dworze w Bukach, zadzwonił telefon. Marciniak zawiadomił Andrzeja, że spotkał w lesie samotnego konia. Na siodle dostrzegł ślady krwi.

— Robowski z Pliszką pognali saniami do lasu.

Do siedzącego przy obiedzie lejtenanta Vetroveca, podszedł dyżurny żandarm i zawiadomił go o telefonie z Buków.

Tyraliera zamknęła się dookoła karczmy na Chaszczy. Mrok zapadał w lesie, kiście śniegu opadały z gałęzi na ramiona żandarmów. Franc Vetrovec ze Stayerem w ręku dał znak wyjścia na otwartą przestrzeń otaczającą karczmę.

W izbie, na wyrku, leżał — Gawrych. Oczy miał otwarte i wpatrywał się w małe okienko. Cień przesunął się za szybami.

— Przyszła dziwka... — tak jak obiecała — pociągnął spodnie, wstając z wyrka. — Teroz jom pohuśtom... — odetchnął głęboko i otworzył drzwi.

Dwa bagnety oparły mu się o pierś.

— Hande hoch!!!

Lejtenant Vetrovec zmierzył do niego ze Stayera. Ktoś chwycił go za gardło. Poczuł na rękach zimną stal kajdan.

Żandarmi weszli do izby i zaczęli ją przeszukiwać. W wyrku pomiędzy skórą znaleźli rulon złotych rubli.

— Od kogoś sem to dostał?! — lejtenant Vetrovec huknął go kolbą rewolweru w szczękę.

— Od pana Rudolfa co mieszka za torfowiskami... — wycharczał Gawrych.

Krew płynęła mu wąskim strumykiem na brodę.

W miesiąc po aresztowaniu Rudolfa Kończycza Robowski ponownie spotkał się z Moniką. Aczkolwiek zrezygnowała z pierwotnych planów, zdawała sobie sprawę, że utrzymywanie z nim stosunków — w razie jego małżeństwa ze Stefcią Zaremską — może jej przynieść poważną korzyść. Postanowiła — przynajmniej chwilowo, — być dla niego miłą i starać się go związać ze sobą jak najmocniej.

Wezwanie ich obojga na rozprawę sądową dawało okazję do okazania jej gorących uczuć.

Czekała od rana na bocznej drodze w lesie, a kiedy sanki Robowskiego przejechały szosą, ruszyła za nimi.

W pewnej chwili, Robowski usłyszał za sobą jej głos:

— Hop! Hop!...

To zawołanie wytrąciło go z równowagi. Kazał zwolnić. Kiedy się zrównali, Monika przeskoczyła do jego sanek. Jechała do sądu w towarzystwie spadkobiercy Anzelma Kończycza, znanego z bezgranicznego oddania dla zamordowanego. Pozycja jej jako świadka, wzmacniała się niepomrotnie.

Przytuliła się do niego.

— Tak będzie nam cieplej... — szepnęła okrywając się pledem.

Na sali rozpraw usiedli obok siebie.

Siwy kapitan — audytor, przewodniczący sądowy, zaczął odczytywać nazwiska świadków. Siedzący obok niego dwaj oficerowie przyglądali się z zaciekawieniem Monice. Uśmiechnęła się do nich. Po chwili wprowadzono oskarżonych. Byli skuci do siebie kajdankami.

Rudolf usiadł na ławie. Patrzył gdzieś w sufit, wydawało się, że nikogo nie widzi. Gawrych powiódł przekrwawionymi oczami po sali i splunął przed siebie.

Thumacz i protokolant zajęli miejsca po bokach sędziowskiego stołu, na którym leżał ścięty karabin, garść nabojęw i rulon owiniętych w papier pieniędzy.

Przewodniczący rozpoczął wywoływanie świadków. Podchodzili po kolei do małego wzniesienia, składali przysięgę i odpowiadali na pytania.

Leśniczy Marciniak, opowiedział krótko o usłyszanym strzale i napotkaniu w lesie samotnego konia; Robowski o znalezieniu ciała pana Anzelma. Nieco więcej uwagi skupił na sobie podniecony i gestykulujący żywo lejtenant Franc Vetrovec. Opisał jak świeże ślady na śniegu doprowadziły go do karczmy na Chaszczy, o odważnym włamaniu się do izby, w której skrył się uzbrojony kłusownik, o znalezieniu karabinu i pieniędzy, o aresztowaniu Rudolfa Kończycza, którego znalazł upitego do nieprzytomności w karczmie w Grabiskach.

Zza stołu, ustawionego naprzeciwko ławy oskarżonych, wstał prokurator.

Był nim opasły porucznik o trudnym do określenia wieku. Poprawił szablę, która mu się plątała pomiędzy kolanami i zwrócił się do Vetroveca:

— Czy oskarżony powiedział panu od kogo dostał pieniądze? — zapytał.

— Powiedział "od Rudolfa co mieszka za torfowiskami".
— Za co?
— Nie pytałem go o to, — zająknął się Vetrovéc.
— Szkoda... — mruknął prokurator. — Ale za chwilę się to wyjaśni...

— Pani Monika Kończyc! — Przewodniczący uprzejmym ruchem wskazał krzesło stojące przed miejscem przeznaczonym dla świadków.

Zdjęła szybkim ruchem futrzany toczek. Robowski zauważył, że wyraz twarzy ma zmieniony. Gładko przyczesane włosy zakrywały uszy. Wyglądała jak podłotek. Powtórzyła wyraźnie słowa przysięgi i usiadła na krześle.

Prokurator zbliżył się do stołu i wziął do ręki rulon pieniędzy.

— Czy może pani stwierdzić, że złote ruble były w posiadaniu męża?

Spojrzała przelotnie na Rudolfa. Oczy miał ciągle wzniesione ku sufitowi.

— Tak jest — odpowiedziała cicho.

— Kiedy po raz ostatni widziała je pani w jego posiadaniu?

— Na dwa dni przed tym, co się stało.

Prokurator wskazał na Gawrycha.

— Czy zna pani tego człowieka?

Monika ponownie zwróciła wzrok ku ławie oskarżonych.

— Nigdy w życiu go nie widziałam, — zaprzeczyła ruchem głowy.

— Gdzie pani była w dniu zbrodni?

— Byłam w Kielcach.

— To wszystko.

Prokurator skłonił się sędziom.

— Dziękuję, — przewodniczący uśmiechnął się ku niej.

— Nie będziemy pani więcej trudzić.

Nastąpiły krótkie zeznania rzeczoznawców; sierżant - rusznikarz stwierdził, że kula która zabiła Anzelma Kończycę pochodziła z karabinu Gawrycha; lekarz sprowadzony ze Szczerkowa, oświadczył że strzał był bardzo celny: trafił ofiarę w serce. Śmierć nastąpiła momentalnie.

Do stołu, za którym siedział prokurator, zbliżył się obrońca z urzędu, młody aspirant oficerski. Zaczęli do siebie szeptać.

— Panowie, — zwrócił się ku nim przewodniczący, — godzina obiadu zbliża się. Nie traćmy czasu. Proszę przystąpić do badania oskarżonych.

— Oskarżony Rudolf Kończyc! — prokurator powstał i oparł się rękami o stół.

Rudolf nie ruszył się z miejsca. Nie patrząc na prokuratora, powiedział:

— Odmawiam odpowiedzi na wszystkie pytania. Proszę mnie pozostawić w spokoju.

— Powtarzał mi to samo cały czas! — obrońca — aspirant rozłożył bezradnie ręce.

— Oskarżony Gawrych!

— Jestem, proszę łaski sądu... — podniósł się ciężko, pociągając ku górze rękę Rudolfa wraz z kajdankami.

— Czy znależ pana Anzelma Kończycę? — zapytał prokurator.

— Nie znołem. Gadali, że to był wielki i dobry pon. Wiadziołem go jak jeździł po lasach.

— Skoro był dobrym panem dlaczego go zabiłeś?

Gawrych stał chwilę w milczeniu.

— Bo tak chcieli... — wyrzekł wreszcie.

— Kto chciał? — prokurator pochylił się ku niemu.

— Ano, dziwka i ten Rudolf, — splunął przed siebie.

— Nie pluj! Tu sąd! — wykrzyknął prokurator. — Co za dziwka?

Gawrych odwrócił się powoli, a odnalazłszy wzrokiem Monikę patrzył na nią w milczeniu.

Była blada. Krew odpłynęła jej z policzków. Przysunęła się bliżej do Robowskiego.

— Nie ona, — mruknął. — Ta przysięgała na Pana Boga, że mnie nigdy nie widziała. Musiała to być — inna.

— Ten chłop bredzi! — prokurator zbliżył się do ławy oskarżonych.

— Proszę jasno odpowiadać na pytania: Od kogo dostałeś karabin?

— Znalozłem go jak Ruski cofały się z Buków.

— A pieniądze?

— Od Rudolfa co mieszka za torfowiskami.

— Za co?

Na sali zapadła cisza. Wszystkie oczy skupiły się na Gawrychu. Stał bez słowa, wydawało się, że ciężko zbiera myśli.

— Za poniedziałek — powiedział.

Prokurator zwrócił się ku przewodniczącemu sądu.

— Zbrodnię popełniono w poniedziałek, — wyrzekł. —

Nie mam więcej pytań — opadł na krzesło.

Po przerwie obiadowej, Monika nie powróciła do sądu. Poprosiła Robowskiego aby się dowiedział o rezultacie rozprawy.

Przed wieczorem zjawił się w jej pokoju hotelowym.

— Ten grubas zażądał kary śmierci dla obu, — poczęstował ją papierosem. — Sąd jednak był innego zdania: Gawrycha powieszą, a Rudolf został skazany na dożywotnie więzienie.

Monika wsparła głowę na jego ramieniu i wybuchnęła szlochem.

— Nie masz czego płakać... pogłodził ją po włosach. — Jesteś wolna. Zmień uczesanie, pakuj walizkę, pojedziemy do Krakowa. Zapomnisz tam o wszystkim.

Monika jakby teraz dopiero zrozumiała co się stało, wyszeptala olśniona:

— Jestem wolna!

Wytarła łzy i przytuliła się do niego.

Wspaniałą kochanką była Monika. Wspaniałość ta, miała jednak bardzo wysoką cenę.

Poza pieniędzmi, biżuterią i strojami, często w nocy, jechał z Buków do Grabowisk, wóz naładowany zbożem, warzywami albo owocami. Zaufany woźnica, syn ogrodnika, wypełniał wszystkie polecenia bardzo dyskretnie. Na pięknym anglo-arabczyku, — chlubił pana Pliszki, — jeździła "amazonka" z lasu. Koń, — rzekomo sprzedany przez Robowskiego podczas "remontów" dla wojska, — znalazł się nieoczekiwanie w Grabiskach.

Dłuższy brak prezentów, wywoływał u Moniki — bóle głowy. Stawała się zimna i nieprzystępna. Robowski wkrótce odkrył, że najlepszym lekarstwem na chorobę, są — podarunki. Po ich otrzymaniu migrena mijała, Monika stawała się wesoła, oddawała się z ochotą, wynajdywała coraz to nowe rozkosze w miłosnych aktach.

Z chwilą kiedy się znalazł w kłopotach finansowych, zaczęła grozić, że odstąpi dzierżawę i przeniesie się na stałe do Warszawy.

— Znajdę cię nie tylko w Warszawie, ale na końcu świata, — ostrzegał ją.

— Rób więcej pieniędzy, a nie będziesz potrzebował mnie szukać! — śmiała się cynicznie.

Wiedziała, że je dla niej wyciągnie spod ziemi.

18.

PAŃSTWO MŁODZI

Szpaler bżów, okalający park, kwitł falą fioletu i bieli.

Powietrze przesycił majowy zapach kwiatów, łąk i lasu. Na ganku bukowskiego dworu stał Andrzej. W rękach trzymał tacę z chlebem i solą.

Naprzeciw, na trawniku, odświeżnie ubrani, zebrali się wszyscy pracownicy majątku. Przed nimi w czarnym surducie przechadzał się pan Pliszka. Opodał leśniczy Marciniak wraz z czterema gajowymi ubranymi w szare kurtki z zielonymi wylogami, szykował strzelby do salwy powitalnej.

Z parkanu zeskoczył mały chłopiec i ruszył pędem ku oczekującym.

— Jadać!!! — krzyknął ile miał tchu w piersiach.

Zza zakrętu drogi ukazał się powóz.

19.

POCZTA POŁOWA NR. 118

W sypialni, siedziała Stefcia i rozczesywała włosy. W odbiciu lustra zobaczyła wchodzącego męża.

— Andrzej przyniósł przed chwilą list do ciebie, — odwróciła się ku niemu.

— No to czytaj! — zawołał. — Nie przestrasz się jak to będzie list od ładnej pani. Mam szalone powodzenie u kobiet...

Ostrożnie otworzyła kopertę.

"Poczta Połowa 118. Miejsce postoju 1-go pułku ułanów Beliny".

"List twój przeadresowano w Warszawie. Oby wasze dzieci, urodziły się już w Niepodległej Polsce.

Kochający was

Szymek".

Podala mu list.

— Hm... — mruknął obracając w rękach kopertę. — Szymek jest w Legionach. Zachciało mu się wojaczki...

Stefcia podeszła do otwartego okna i zapatrzyła się w ciemność.

Na łące podchodzącej pod chaty wołyńskiej wsi Gradyski, leżał Wacek Penott i przyglądał się kołującym na tle błękitnego nieba — bocianom.

Opodal pasły się spokojnie konie jego plutonu.

Front, — uśpiony przez kilka miesięcy, — przebudził się. Od południowego wschodu, słychać było głuche dudnienie armat. Mogło się wydawać, że olbrzym toczy po widnokręgu gigantyczną beczkę wypełnioną głazami.

"Zaczyna się" — myślał Wacek, — "Bóg jeden wie, jak się skończy. Jeśli pójde w to piekło, być może z niego nie wrócę..."

Ostatnie lata, odżyły mu w pamięci.

W tydzień po spotkaniu z Izą opuścił Warszawę.

W jakiś niewytłumaczalny sposób spotkanie to go oprzytomniło.

Doszedł do wniosku, że pośrednictwo, którym się zajmował niedalekie jest od oszustwa. Poczul do siebie obrzydzenie. Przelotne znajomości z dziewczętami, koledzy z którymi musiał się stykać i użerać przy sposobności interesów, klienci, życie codzienne, wszystko to przestało go interesować. Warszawa straciła dla niego swój zwykły urok.

Z listów mieszkającej w Krakowie ciotki dowiedział się o szybkim formowaniu coraz to nowych drużyn "Związku Strzeleckiego".

Ciotka Janina Brzezińska poświęciła swoją staropanienską miłość tej organizacji. Poprzednio, podczas krótkich pobytów za interesami w Krakowie, widział ją kilkakrotnie. Mieszkanko na Batorego zawalone było zawsze mundurami. W małym pokoiku za kuchnią dudniła do późnych godzin nocnych maszyna do szycia.

— Tylko czyn zbrojny może nam przywrócić niepodległość... powtarzała zasłyszane na jakimś zebraniu zdanie.

Nie namyślając się długo zapłacił komorne za garsonierę na kilka miesięcy naprzód i wyruszył do Krakowa. Żegnał Warszawę bez żalu. "Gdyby tutaj był Kwiatek" — rozmyślał, — "nigdy nie ruszylibym się z domu. Chyba się zakochałem?" — dziwił się sam sobie.

W Krakowie bez wielkich trudów przyjęto go do Szkoły Oficerskiej Związku Strzeleckiego. Nauka, zebrania, ćwiczenia polowe, pochłaniały dnie i noce.

Przed samym wybuchem wojny, otrzymał dyplom podporucznika.

Ku swojemu rozczerzowaniu nie przekroczył granicy Królestwa wraz z Kompanią Kadrową. Wysłano go do Warszawy, dla nawiązania kontaktów z tamtejszymi sympatykami organizacji.

Obawiając się zamieszkać na Foksalu, przyjął zaproszenie spotkanego przypadkowo na zebraniu Szymka Perkowskiego i zatrzymał się u niego. Zaprzyjaźnili się serdecznie, a po zajęciu Warszawy przez Niemców pociągnęli za Batalionem Warszawskim do I-szej Brygady Legionów.

Warszawa, — tym razem po raz drugi — wydała się Penottowi inna.

Chłód od niej wionął. Mało kto chciał słyszeć o Legionach. Szeroko rozprowadano, że po zajęciu Kielc legionieści otworzyli

więzienia i bratali się z wypuszczonymi z nich złodziejami i zbrodniarzami. Mówiono, że ich oddziały, maszerują za czerwonymi sztandarami. Rozpowiadano, że kiedy przyszedli do Obłęgórka Sienkiewicz zamknął się w pokoju i oświadczył że nie chce ich widzieć.

Stronnictwo Narodowej-Demokracji, które przypisywało sobie zasługę ukazania się odezwy Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza, zapowiadającej autonomię Królestwa, przewodziło nastrojom.

Nic nie potrafiło zachwiać Wacka Penotta w przekonaniu, że człowiek, który ich prowadzi ma jeden cel przed sobą: Polskę Niepodległą. Postanowił iść za nim, do — końca.

— Niech się bawią swoimi papierkami, — mówił do Szymka. — My mamy szablę w garści...

Od strony wsi, usłyszał wołanie. Podniósł się z ziemi. Zbliżał się Szymek Perkowski.

— Zbieraj się Wacuś! — zawołał. — Pogotowie marszowe!...

Był to dzień 4 lipca 1916 roku.

Zbliżało się południe.

Po obiedzie złożonym ze skąpo okraszonego pencaku, paru kęsków gulaszu i kawy, szwadrony ustawiły się za wsią. Po chwili na piaszczystej drodze wyciągnęła się kolumna dywizjonu.

Mijając małe laski, bagienka, niedawno pobudowane obozy rezerw i dowództw dotarli o zmroku do lasu położonego niedaleko wsi Wołczek, gdzie znajdowało się dowództwo I-szej Brygady Legionów.

Jeszcze nie zdążyli opuścić popręgów kiedy pluton Penotta otrzymał rozkaz nawiązania łączności z piechotą broniącą okopów na "Polskiej Górze".

Starając się nie pokaleczyć koni drutami kolczastymi i zwalonymi liniami telefonicznymi, podjechali do "Lasku Saperskiego". Była północ, gdy zsiadli z koni i ruszyli tyraliera. Kanałada armat złała się w jeden nieprzerwany grzmot. Szrapnele oślepiającymi błyskami rozrywały się nad ich głowami. Kiedy się zbliżyli, lasek rozbłysnął ogniem.

W międzyczasie zajęli go Moskale. W braku łopatek, zaczęli się okopywać kolbami karabinów, rwali ziemię klamrami pasów, scyzorykami, paznokciami. O świcie, zasypywani ulewą pocisków, zaczęli się wycofywać w stronę wsi Wołczek, bronionej przez 6 Batalion Legionów.

Dopiero teraz zrozumieli dlaczego "Lasek Saperski" był tak silnie obsadzony przez nieprzyjaciela: za nim koncentrowała się do szarży dywizja kawalerii rosyjskiej. Na wzgórzu, przed laskiem, ukazały się szwadrony huzarów, dragonów, kozaków i ruszyły galopem na Wołczek.

Dojechawszy do drutów kolczastych kawalerzyści zeskaکیwali z koni i rąbali je szablami. Przez te wyrwy, jak przez lejki, przesączały się kolumny kawalerii na otwartą przestrzeń i porządkowały szeregi do dalszej szarży. Z boku, raził je morderczy ogień karabinów maszynowych 6-go Baonu.

Jeźdźcy i konie, zaplątani w drutach kolczastych, dogorywali pod kulami.

Wkrótce szarżująca ława zniknęła za zasłoną zabudowań wsi. Dalsze jej powstrzymanie stało się niemożliwe.

Rozpoczął się odwrót.

Penott wciągnął na konia rannego piechura i dołączył wkrótce ze swoim plutonem do dywizjonu.

Wschodzące słońce zapowiadało dzień upalny i bezwietrzny. Spychane skrzydłowymi atakami kawalerii oddziały austriackie i legionowe zawały drogę z Trojanówki do Czerska, gdzie znajdował się jedyny most na Stochodzie. Zdając sobie sprawę z ważności tej przeprawy, Rosjanie napierali z furją.

Ułani Beliny osłaniali drogę odwrotu.

Ustępując skokami na wąskiej, biegnącej poprzez groble drodze, pluton z plutonem zatrzymywał się, zawracał, dawał salwę i cofał się ponownie. Powtarzało się to niezliczoną ilość razy. Szwadrony atakowane z boków przez szarżującą kawalerię rosyjską ścierały się z nią w walce na białą broń.

Po jednym z tych starć Szymek Perkowski zauważył strumyk krwi płynącej mu z rękawa na cugle. Ściągnął konia. W tej chwili zobaczył obok siebie — Wacka.

— To głupstwo... — wyrzekł.

Ogarnęła go ciemność.

21.

“SAM SOBIE WINIEN...”

Do gabinetu w Bukach, weszła Stefcia.

— Przepraszam, że ci przerywam, — powiedziała do męża siedzącego za biurkiem.

— A tak prosiłem, żeby mi nikt nie przeszkadzał! — odłożył pióro i popatrzył na nią z niechęcią.

— Był tu przed chwilą Olszak, syn naszego młynarza. Zwolnili go z Legionów, stracił rękę na “Polskiej Górze”.

— A cóż mnie to obchodzi! Czego tam lazi? — porządkował kartki papieru na biurku.

— Nie o niego mi chodzi. — Stefcia oparła się rękami o poręcz fotela. — Przebywał w szpitalu w Lublinie razem z Szymkiem Perkowskim. Dowiedziawszy się, że pochodzi z Buków Szymek poprosił o przekazanie ci pozdrowień.

— Co się stało Perkowskiemu?

— Został ranny cięciem szabli w ramię. Rękę ma bezwładną.

— Sam sobie winien. Nikt go nie pchał do Legionów.

Stefcia patrzyła na niego w milczeniu.

— Mówiłeś, że jest twoim najlepszym przyjacielem, — powiedziała po dłuższej chwili. — Mówiłeś że opiekował się tobą jak bratem. Czy nie uważasz, że nadszedł czas, żeby mu się odwdziaczyć?

— Odwdziaczyć? W jaki sposób?...

— Jest sam w szpitalu. Pojedź go odwiedzić. Ja mogę przygotować paczkę z prowiantami. Na miejscu, dowiesz się czego mu potrzeba.

— Kobieto, — złapał się za głowę, — przecież wiesz, że mam niewiele czasu na wykończenie przemówienia. Czekam na walne zebranie Związku Ziemian od miesięcy. Od tego co powiem — wskazał na zapisane kartki, — zależy jak zostaną przyjęte przez całą okolicę! Nie mogę teraz myśleć o żadnym wyjeździe.

— W takim razie może pozwolisz, że pojedę sama do niego.

Nie odpowiedział od razu. Ledwie dostrzegalny uśmiech zaigrał mu na wargach.

"Hop, hop... kilka nocy z Moniką..." — pomyślał.

— Jedź, — wyrzekł po chwili. — Powiedz Szymkowi, że mu serdecznie współczuję.

Szpital Legionów Polskich Nr. 1/IV mieścił się w starym gmachu poklasztornym w Lublinie.

Przeszedłszy przez otoczony murem mały dziedziniec Stefcia znalazła się w sklepowym pokoju, który zapewne poprzednio był — refektarzem.

Po chwili wprowadzono ją do kancelarii komendanta szpitala.

Był nim niski, szczupły pułkownik w austriackim mundurze. Na stole zauważyła jego czapkę. Pod "bączkiem" cesarskim widniał przypięty orzełek legionowy.

— Kamiński, — przedstawił się.

Wyjaśniła mu powód wizyty.

— Niech pani spocznie, — wskazał krzesło. — Za chwilę przyjdzie tu doktor Zaorski. Pani pupil znajduje się na pewno na jego oddziale. Kilka tygodni temu trudno by go było znaleźć. Po rzeźni Brusłowa mieliśmy zawałone wszystkie korytarze.

Prowadzona przez dra Zaorskiego weszła na pierwsze piętro i znalazła się w obszernej, jasnej sali. Pod ścianami stały łóżka. Panowała tu cisza. Młoda siostra, w białym kitlu, przechodziła od łóżka do łóżka zakładając termometry.

Dr Zaorski poprowadził ją w róg sali.

— Kolego Perkowski — wizyta! — poglądził rannego po głowie.

Szymek uniósł się na poduszce.

— Wizyta? — zapytał zdziwiony.

Stefcia położyła bukiet róż na stoliku i wyciągnęła do niego rękę.

Z wysiłkiem odwrócił się i ujął jej dłoń.

"Boże, jaki on wychudzony" — pomyślała patrząc na jego poczerwiałą twarz.

— Czy pani się nie pomyliła? — uśmiechnął się. — Ludzie myślą się tutaj bardzo często... Szukają swoich i nie znajdują ich.

— Jeśli jest pan Szymkiem Perkowskim przyjacielem Witolda, mojego męża, to wszystko w porządku. Przywiozłam pozdrowienia od niego i trochę prowiantów.

Zaczęła rozpakowywać paczkę.

Zauważywszy, że usiłuje się posunąć powstrzymała go i poprawiła poduszkę.

— Lekarz, który mnie tu przyprowadził, powiedział, że jak pan nie uszkodzi ponownie pozszywanych mięśni to ręka szybko się zagoi i będzie pan mógł machać szabelką jak dawniej. Proszę się nie ruszać.

Pogroziła mu palcem.

Na stoliku ukazała się piramida pudełek z papierosami, słoiki konfitur, tabliczki czekolady.

Ranni, leżący na sąsiednich łózkach, udawali, że niczego nie widzą. Cała ich uwaga skupiła się na siostrze, która wyjmowała termometry i wypisywała temperaturę na kartkach, wiszących nad łózkami.

— Niech pani coś opowie o Witku, — poprosił Szymek.

Opowiedziała półsłówkami o ich spotkaniu, ślubie, o testamencie Anzelma Kończycza, o zmianie systemu gospodarki w Bukach.

Zauważył, że mówi niechętnie.

— Doktor Zaorski, — przerwał, odczuwszy jej zakłopotanie, — uważa, że już jutro mogę wstać i przejść na chwilę do ogrodu. Jeśli by pani mogła odwiedzić mnie jutro po południu, sprawiłoby mi to wielką radość. A teraz, proszę rozdzielić zawartość paczki i rozdać ją kolegom — uśmiechnął się. — Naturalnie, nie zapominając o mojej części...

* * *

Siedzieli w ogródku poza gmachem klasztornym.

— Jakoś mi teraz lżej na sercu, kiedy wie pan wszystko — kończyła opowiadanie. Nie miałam dotąd nikogo przed kim mogłabym się wypowiadać. Jak pan widzi, zakochałam się w biednym praktykancie. Okazało się, że wyszłam za mąż za bogatego dziedzica. Przyszłość przejmuję mnie lękiem. Pan jeden, najlepszy jego przyjaciel, może mu zwrócić uwagę na obowiązki wobec kraju i konieczność zmiany postępowania z robotnikami i chłopami, którzy zaczynają go nienawidzić. Niech pan do nas jak najszybciej przyjedzie! — popatrzyła na niego z prośbą w oczach.

Szymek słuchał jej przez cały czas w milczeniu. Ręka zaczęła go boleć ponownie. Starał się nie okazywać bólu.

— Jaki jest jego stosunek do Legionów? — zapytał.

— Uległ przemożnemu wpływowi szwagra, Artura Wychnowskiego, — odpowiedziała. — Jego brat, warszawski adwokat, jest członkiem Zarządu Stronnictwa Narodowej-Demokracji. Zapisał się do partii i uważa, że powinniśmy zwalczać Legiony wszelkimi sposobami.

— Znaleźliśmy się w przeciwnych obozach — powiedział patrząc na jej opuszczoną głowę i opadające na czoło włosy. — Zrobię wszystko co możliwe, ale zdaje mi się dużo czasu upłynie zanim będę w stanie go zobaczyć. Zaraz po wyleczeniu, wracam do pułku. Czas, pani Stefciu, — starał się ją pocieszyć, — jest najlepszym lekarzem. Może i jemu otworzą się oczy...

23.

"ITS'LONG WAY TO TIPERRARY"

Minęła wojna światowa.

Zdemobilizowani żołnierze tańczyli w parkach Paryża, na ulicach Londynu słychać było "Tiperrary", bary rozbrzmiewały piosenką: "Pakuji smutki do tornistra i śmieć się, śmieć się, śmieć się!!!

W tym samym czasie samodzielny szwadron Wacka Penotta ciągnął pod Lwów, a Szymek Perkowski, przeniósłszy się do lotnictwa, przebywał w szkole pilotażu.

Wojna dla Polaków miała potrwać jeszcze prawie dwa lata. Rok 1920 powitał Szymek w Wilnie, gdzie stała jego 19 Eskadra Myśliwska "Spadów". Widywał tu czasami Wacka, który kwaterował w pobliskiej Oszmianie.

W lecie front się cofnął pod Warszawę. Zwycięskie uderzenie znalazł Wieprza rozstrzygnęło wojnę.

Nieledwie podczas ostatniej wymiany strzałów nad Niemnem Penott został ranny. Przewieziono go do stolicy. Przez otwarte drzwiczki samochodu sanitarnego patrzył na znane mu ulice. Warszawa wydała mu się ponownie dawnym, ukochanym miastem.

Na sanitarkę, sypały się — kwiaty.

Dwudziestolecie

24.

DZIEDZIC

W ciągu następnych kilku lat, w Bukach wiele się zmieniło. Poszły w ruch nowowyprowadzone tartaki, stary las zaczął — coraz gęściej — prześwitywać porębami.

Witold Robowski uważał, że rolnictwo i leśnictwo, należy prowadzić według wzorów handlowych. Podtrzymywał go w tym przekonaniu szwagier Artur Wychnowski, z którym postanowił założyć do spółki wielką firmę handlową w Szczerkowie.

Artur dowodził także, że mogą zrobić fortunę na akcjach.

Robowski, jeżdżąc do Kielc i Warszawy, zakupywał za miliony "polskich marek" akcje "Cukrowni Warszawskich", "Parowozu", "Starachowic" i innych towarzystw, które mnożyły się jak grzyby po deszczu. Przeczytawszy któregoś dnia, że wszystkie akcje spadły i że nikt ich nie chce kupować wpadł w furję.

— To tylko chwilowe... — pocieszał go Artur Wychnowski.

Ta "chwila" przedłużyła się w nieskończoność. Padły pod siekierami nowe poręby.

Nie pomagały błagania leśniczego Marciniaka, nie pomagały ostrzeżenia rejonowego Inspektora Ochrony Lasów, których zresztą, — jako nudnych pism urzędowych, — Robowski zazwyczaj nie czytał. Sosny i dęby waliły się pokotem na ziemię.

— Rąb pan spokojnie, panie Marciniak, — mówił do leśniczego zaufany Robowskiego kupiec drzewny Margules. — Ja mam takich znajomych w Dyrekcji Lasów, którzy nie ośmielą się wspomnieć o ustawie. Dla Buków to ja pisze pan dziedzic Robowski i pan Margules.

Nie było wesoło w Bukach.

Stefcia krzątała się po domu cicha i strapiona. Pan Pliszka, — o ile to tylko było możliwe, — unikał spotkań z młodym dziedzicem. Stary Andrzej całą swoją uwagę poświęcił Stefci, którą ostrzegał o "humorach" męża. Robotnicy patrzyli z podełba na "przybłądę Robosia", od którego nigdy nie usłyszeli dobrego słowa.

— Zrujnuje Buki... — mruzcili wieczorami w karczmie chłopci.

Od chwili kiedy odmówili pomocy w rąbaniu lasów starał się im dokuczać wszelkimi sposobami.

Artur, ukończywszy rąbanie swojego niewielkiego lasu, posyłał teraz swoich ludzi do Buków.

Zalegali z zapłatą za materiały budowlane potrzebne dla wznoszonego w Szczerkowie budynku firmy handlowej i zdobywali pieniądze jak się dało.

Do pośpiechu zmuszała ich nieprzewidziana okoliczność: dawna Szczerkowska Spółdzielnia Rolnicza — ożyła. Wybrano nowy zarząd, który energicznie wziął się do pracy. Należało zniszczyć konkurentów zanim zdołają otworzyć spółdzielnię.

Robowski, jeżdżący z zebrania na zebranie, wysłuchujący komplementów towarzyszącego mu wszędzie szwagra, konferujący z kupcami i pośrednikami, był gościem w Bukach.

Przyjeżdżając do domu, często o świcie, kładł się do łóżka, a po przebudzeniu opryskliwie odpowiadał na pytania i wybuchał o byle co gniewem.

W Stefci nie znalazł odpowiedniej towarzyszki. Była cięcha, pracowita, wiele czasu poświęcała na odwiedzanie chłopów we wsi, przesiadywała w czworakach z rodzinami fernali, założyła małą apteczkę i opiekowała się chorymi. Czasem, wieczorami, słyszał jak grała na fortepianie. Zamykał wtedy drzwi od gabinetu. Nie lubił muzyki.

Gdy się kładli do łóżek, nie pociągała go. Pewnej nocy poskarżyła się, że jest za brutalny. Zraziło go to do reszty. Po tym wypadku przeniósł się do osobnego pokoju.

“Jakże można ją porównywać z Moniką!” — myślał ze złością, — “Kloc, pierzyna, kawał lodu. Tamta żywe srebro, płomień!...”

Pierwsze poważniejsze nieporozumienie z żoną nastąpiło z powodu stangreta Mateusza.

Jechali po południu do Szczerkowa, na zebranie Związku Ziemian, na którym miał wygłosić drugi referat. Poprzedni nie zrobił spodziewanego wrażenia, ale ten, — wedle zdania Artura Wychnowskiego — miał być wspaniały.

Deszcz lał jak z cebra. Robowski siedział w zakrytym powozie. Mateusza na koźle zlewały potoki ulewy.

— Jedź wyciągniętego klusa! — krzyknął.

— Droga śliska, panie dziedzicu i wyboje! — odkrzyknął Mateusz.

— Jedź jak ci każe! Batem po koniach, bo się spóźnimy! — zawołał rozzłoszczony.

Porywisty wiatr zerwał Mateuszowi granatowy kaszkiet z głowy. Starając się go uchwycić, wypuścił z rąk lejce. Powóz nagle skręcił i wywalił się do rowu. Teczka z referatem utonęła w błocie.

W Szczerkowie Robowski był zmuszony pożyczyć ubranie od syna aptekarza.

“Wyglądam jak błazen” — pieniał się w myśli wchodząc na salę.

Nie będąc w stanie odczytać zamazanych liter starał się mówić z pamięci. Gubił się, jąkał, powtarzał po kilkakroć wypowiedziane poprzednio zdania. Dostrzegł poważnie skupioną twarz Wychnowskiego i uśmiechających się ironicznie jego sąsiadów. Kiedy kilku słuchaczy wyszło z sali, zrozumiał, że i

tym razem przegrał. Zapowiadany przez szwagra sukces, stał się beznadziejną kompromitacją.

W drodze powrotnej dusiła go wściekłość. Kazał zjechać przed rządcówkę i polecił Pliszce natychmiast wydalić Mateusza.

Usłyszawszy o tym Stefcia udała się do czworaków. Niosła ze sobą koszyk wypełniony prowiantami.

— Ile lat Mateusz spędził w Bukach? — zapytała.

— Służyłem u ojca pana Anzelma, potem przez cały czas u niego, będzie coś trzydzieści років z okładem.

— Nie mam wiele własnych pieniędzy — podała mu sto złotych; — proszę to przyjąć na drogę.

Mateusz pochylił się i pocałował ją w rękę.

— Biedny to ja jestem, — wyrzekł. — Ale coś mi się widzi, że pani dziedziczka — biedniejsza...

— Kiedy Mateusz wyjeżdża? — głos jej zadrżał. — Chciałabym coś jeszcze przynieść dla dzieci.

— Jutro o świcie, — odpowiedział.

— Chyba jak ulewa minie, na taki czas jechać nie sposób...

— Pan dziedzic kazał, trzeba jechać, — westchnął.

Następnego dnia niebo było pokryte ciężkimi chmurami, deszcz padał bez przerwy.

Przy śniadaniu, Stefcia zwróciła się do męża:

— Dowiedziałam się, że wyrzuciłeś Mateusza. Chyba mu nie każesz opuszczać domu na taki czas, — wskazała na zalewane potokami wody szyby.

— Proszę, żebyś się nie wtrącała do nieswoich spraw, — odsunął krzesło wstając od stołu. — Ten dureń dzisiaj opuści Buki.

“Teraz mu powiem...” zdecydowała Stefcia.

Była spokojna. Dawno wiedziała, że ta chwila musi nadejść.

— Zaczekaj. Ja nie skończyłam.

Wyprostowała się. Z leżącej na stole torebki wyjęła list.

— Chciałam ci o tym poprzednio powiedzieć, ale myślałam, że to nigdy nie będzie potrzebne. Byłeś zawsze zajęty, pragnęłam uniknąć zaprzękania ci głowy sprawami, które wydawały się bez znaczenia. A może rejent Ożarek sam ci o tym doniósł?

— Nic mi nie doniósł.

— List adresowany był do nas obojga, — otworzyła kopertę. — Pozwolisz że go przeczytam.

“Szanowni Państwo!”

Zawiadamiam niniejszym o klauzuli którą pan Anzelm Kończyc, polecił dołączyć w odpowiednim czasie do aktu hipotecznego sporządzonego na mocy testamentu. Treść klauzuli jest następująca: “W razie małżeństwa Witolda Robowskiego upoważniam reagenta Piotra Ożarka do przeprowadzenia zmiany tytułu własności majątku Buki.

Z dniem ślubu majątek ma stanowić wspólną własność obojga małżonków.

Sprzedaż w całości lub w części oraz zmiany administracyjne mogą być dokonywane tylko za zgodą współmałżonków”.

Uprzejmie komunikuję, że klauzula powyższa, została uwidocznioma w akcie hipotecznym”.

Z poważaniem
Piotr Ożarek
Rejent

Ostatnie słowa wypowiedziała patrząc mu prosto w oczy. Obawa, że nie starczy jej odwagi na odczytanie listu — minęła.

— Majątek mało mnie obchodzi, — mówiła dalej spokojnie. — Nie znam się na administracji. Ale obchodzą mnie ludzie. Dlatego to Mateusz nie wyjedzie dziś z Buków. Na przyszłość, dla uniknięcia nieporozumień, proszę, żebyś mnie zawiadamiał zanim kogoś oddalisz.

— Bzdura! — trzasnął drzwiami.

Narzucił płaszcz i poszedł do rządcówki.

— Mateusz już wyjechał?

— Nie proszę pana. Pani dziedziczka poleciła zaczekać z zaprzęgiem koni do czasu aż się wypogodzi.

— Ona nie ma tu nic do gadania! — wykrzyknął.

Pliszka powoli nabił fajkę.

— Skoro wydała polecenie to musi mieć do tego prawo, — powiedział.

“Łajdak wie wszystko...” — pomyślał Robowski.

Wieczorem, mimo ulewnego deszczu, pojechał do Grabisk. Służba Moniki była dobrze wytresowana. Mało kto w okolicy domyślał się prawdy.

Ale byli i tacy.

25.

CHOLERNY DZIEŃ

Pewnego dnia, wcześniej rano, przed rządcówką zatrzymała się bryczka leśniczego Marciniaka.

— Witaj Staszku! — Pliszka wprowadził przyjaciela do pokoju. — Widzę po twojej fizjonomii, że masz jakieś kłopoty. Chodź do jadalni, Wikta zaraz poda śniadanie.

Usiedli za stołem.

— Kłopoty to ja mam, — czoło Marciniaka pokryło się zmarszczkami. — Przyjechałem podziękować za służbę.

— Hm... — mruknął Pliszka, podsuwając Marciniakowi talerz z żurem i ziemniaki. — Na głodno nie będziemy rozmawiali. Chyba jeszcze dzisiaj nic nie jadłeś... — popatrzał na pobladłą twarz przyjaciela.

— No, a teraz gadaj, — powiedział, gdy skończyli jedzenie i zapalili fajki.

— Jak wiesz wyrabialiśmy już przeszło 40 procent lasu, — rozpoczął Marciniak. — Jeśli ci powiem, że ustawa pozwala wyrąb jednej setnej całego obszaru, to zrozumiesz co to znaczy. Dzisiaj o świcie, przyjechali ludzie Wychnowskiego i zaczęli rąbać młody las na Piotrowskich Górach. Kiedy ich zapytałem co robią odpowiedzieli, że rąbią “na okrągłaki”.

— Nie uprzedził cię o tym?

— Nie. Otóż pominąwszy dewastację, która woła o pomstę do Boga, ja nie chcę pójść do więzienia. Jedyna rada opuścić Buki.

— A masz gdzie się schronić?

— Nie mam. Na razie myślę zamieszkać u szwagra w Szczerkowie. Żał mi tylko psów. Zmarnieją w mieście.

Pliszka podszedł do półki, wziął butelkę, napełnił kieliszki.

— Wprawdzie to rano, ale łyżeczek starego miodu nie za-

szkodzi. Ponoć w dawnych czasach pito z dobrym skutkiem przed bitwą. Chodźmy do kancelarii.

Powstał od stołu, kiedy wypróżnili kieliszki.

Zamknawszy drzwi zwrócił się do przyjaciela.

— Słuchaj, Staszku, co ci powiem, — wyrzekł przyciszonym głosem. — Podziękujemy za służbę razem.

— Razem? Dzisiaj?! — Marciniak chwycił go za rękę.

— A tak. Razem i dzisiaj! Oboj stąd wyjedziemy. Ale nie jego końmi! — roześmiał się prawie, że wesoło. — Wyrwałem do tej chwili — mówił dalej, — tylko dlatego, że mi żal okrutnie pani Stefanii. Przekonałem się jednak, że nic jej pomóc nie mogę. Może stamtąd gdzie pojedziemy, będzie to łatwiejsze. A pojedziemy, Staszku, niedaleko.

Zapalił wygasłą fajkę.

Marciniak patrzył na niego z otwartymi ustami.

— Jak wiesz, — ciągnął Pliszka, — w Szczerkowie już za kilka tygodni nastąpi otwarcie odbudowanej spółdzielni rolniczej. Zaproponowano mi objęcie kierownictwa. Na Zarzęczu spółdzielnia posiada niewielki młyn wodny i tartak. Remont jest już na ukończeniu. W przewidywaniu tego co się stanie zwróciłem się do zarządu, żeby cię przyjęli. Zgodzili się z ochotą. Twoje pieski będą miały dużo miejsca do biegania. Sam będę do ciebie jeździł na kaczki... — poklepał go po ramieniu.

— Niech ci Matka Boska wynagrodzi... — Marciniak uścisnął mu rękę.

Wolno poszli w stronę dworu.

— Pan Pliszka i pan Marciniak, — zawiadomił Andrzej siedzącego w gabinecie Robowskiego.

— Wydadę dyspozycje wieczorem, — obruszył się. — Cóż to za nowe zwyczaje?

— Mówią, że sprawa pilna, panie dziedzicu, — odpowiedział Andrzej.

— Czego chcecie? — rzucił Robowski kiedy weszli do gabinetu.

Pliszka wyjął chustkę i głośno wysiąknął nos.

— Przyszliśmy, — popatrzył uważnie na Robowskiego — podziękować za służbę.

— Myślicie, że sobie bez was nie dam rady? — złośliwy uśmiech wykrzywił mu usta.

— Rąbać las każdy potrafi, — powiedział twardo Marciniak. — Trudniej go sadzić i pielęgnować. Dziś od rana ludzie tego Wychnowskiego, wałą siekierami trzydziestoletnie sosny.

Robowski zerwał się zza biurka.

— Dla ciebie Marciniak nie ma "tego Wychnowskiego"! Jak o nim mówisz, mów "pan dziedzic Prawdzic - Wychnowski"!...

— A kiedy pan do mnie mówi, to proszę pamiętać, że jestem panem leśniczym Marciniakiem.

— Ty chamie!!!

Robowski zamierzył się na niego.

— Powolutku... — Pliszka chwycił go za ramię i żelaznym uchwytem przykuł do miejsca. — Nie czas jeszcze na lekcje. Ale niedługo to ja pan... dziedzic dostanie.

Pchnął go na biurko.

— Precz stąd!

— Z przyjemnością, — odwrócił się od drzwi Pliszka. — Za-

legie pensje może pan przysłać do burmistrza w Szczerkowie. A o konie dla nas niech się pan nie kłopotuje.

Po południu przed rządcówkę zajechała świeżo odmalowana ciężarówka. Po obu jej bokach widniał napis: "Szczerkowska Spółdzielnia Rolników".

Wysiadł z niej starszy jegomość z sumiastymi wąsami i skierował się do dworu.

Robowski przyjął go w tym samym gabinecie. Od rana stąd nie wychodził. Czekał nerwowo na telefon od Wychnowskiego.

— Czego pan chce? — zapytał nie patrząc na gościa.

— Nazywam się Krajkowski, — odpowiedział przybyły. — Jestem sekretarzem Związku Robotników w Szczerkowie. Skorzystałem z okazji, że ciężarówka naszej spółdzielni jechała do Buków i oto jestem.

Robowski obrzucił spojrzeniem przybysza.

— Nie wygląda pan na robotnika rolnego ani na socjalistę, — mruknął. — Niech pan siada.

Wskazał fotel. Krajkowski nie skorzystał z zaproszenia.

— Nigdy nie byłem robotnikiem rolnym, — odrzekł stojąc.

— Byłem sztygarem. Pół życia spędziłem pod ziemią. Obecnie na stare lata powróciłem do stron rodzinnych. Widzi pan ja się urodziłem w Bukach. Mój ojciec tu sadził lasy.

— Przyjechał pan odwiedzić Buki?

— Nie. Przyjechałem w sprawie członków mojego związku.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął okazałych rozmiarów notes.

— Moich robotników?

— Tak jest, — odpowiedział Krajkowski przewracając kartki notesu. — Wpłynęło od nich kilka skarg.

— Od kogo? Proszę o nazwiska?...

— Jeśli nie załatwi pan tych skarg bezzwłocznie dowie się pan o nazwiskach w sądzie. — Krajkowski nie przerwał studiowania kartek notesu.

— A tak, to tu... — poprawił okulary. — Otóż zalega pan w wydaniu ordynarii. Ludzie idą głodni do roboty. Opał wydaje pan poniżej ustalonej normy, innymi słowy pracownicy są oszukiwani na opale. Pomimo protestów rządcy, kazał pan wyznaczyć dla robotników najgorszą i niewynawożoną ziemię pod ziemniaki. Na koniec jest tu jedna sprawa indywidualna. Wydał pan bezprawnie stangreta Mateusza, który tu pracował przeszło 30 lat. Czy pan wie, ile mu się należało po tak długiej wysłudze? Nie dał pan ani grosza. Przybyłem, aby się dowiedzieć co pan ma zamiar zrobić w tych sprawach. Ewentualnie napiszę umowę polubowną, którą pan podpisze, a ja przedstawię robotnikom do zaakceptowania.

Robowski patrzył na niego z widoczną złością.

— Nic nie zrobię i nic nie podpiszę, — odsunął notes, który Krajkowski położył na biurku. — Nikt nie ma prawa wtrącać się do mojej administracji.

— To się dopiero okaże... — Krajkowski schował notes do kieszeni, i wyszedł zamykając cicho drzwi za sobą.

— Cholerny dzień! Niech tylko otworzymy naszą firmę. Ja im jeszcze pokażę! — chwycił słuchawkę i z wściekłością zaczął kręcić korbkę telefonu.

Wieczorem zawiadomił Stefcie, że jedzie do Klubu Urzędniczego w Szczerkowie na brydża.

Powiedział, że po ciężkiej pracy, musi wypocząć.

Rozbierała się, kiedy zadzwonił telefon.

Mówiła Warszawa. Ucieszyła się poznawszy głos Szymka Perkowskiego.

Zawiadamiał, że powrócił z Francji, gdzie przebywał w ciągu ostatnich lat jako zastępca attaché lotniczego przy ambasadzie i że nareszcie otrzymał urlop. Zapytywał czy może przyjechać z wizytą do Buków i zabrać dawnego dowódcę szwadronu, który także przebywa na urlopie.

— Jakże się cieszę! — wykrzyknęła. — Mamy w Bukach sześć pokoiów gościnnych, które już zapomnieliśmy jak goście wyglądają...

Bezpośrednio po tej rozmowie, połączyła się z Klubem Urzędniczym, pragnąc się podzielić z mężem wiadomością o zapowiedzianym przyjeździe jego przyjaciela.

— Pan Robowski nie był dziś w klubie, — odpowiedział nieznanym głosem. — Znajdzie go pani na pewno w Grabiskach, — usłyszała stłumiony śmiech. — U wesołej wdówki.

* * *

— Mam dobrą wiadomość... — powiedziała następnego dnia, wchodząc do jadalni.

— Zawsze masz dobre wiadomości przy śniadaniu... — popatrzył na nią spod oka.

— Szymek Perkowski przyjeżdża do Buków.

— Też sobie wybrał czas! Jestem zajęty. Nie będę mógł go bawić.

— Nie obawiaj się. Razem z nim zjawi się jego dawny dowódca szwadronu. Będę im towarzyszyła. W ciągu dnia możemy polować na kuropatwy, a wieczorem na pewno nie sprawi ci kłopotu, zabierać ich, — przerwała, unosząc do ust filiżankę, — do... Klubu Urzędniczego na brydża.

Patrzył na nią kiedy wychodziła z pokoju. "Psia krew, — zaklął — jeszcze tego brakuje, żeby się domysliła..."

Dok. nastąpi.

Dr Stanisław Bundyra

Jedyny adwokat polski w São Paulo

Członek Związku Adwokatów Brazylii.

Załatwia wszelkie sprawy sądowe: cywilne, handlowe i pracownicze, jak: inwentarze, mieszkaniowe, upadłościowe itp.

BIURO: Rua Senador Feijó, 29 — 4 p. s. 417

(obok Katedry) Tel.: 35-6521

PRZYJMUJE OD GODZ. 14 DO 19

Elektryczne instalacje
przemysłowe

niskiego i wysokiego
napięcia

ELOBRA

OBRAS

ELÉTRICAS LTDA.

Brigadeiro Tobias 356 - 10.º
Conj. 103 — Tel.: 34-0806

São Paulo

**EMBELEZE
SEU LAR**

E VALORIZE SEU TV
TORNANDO-O
MODERNO,
FUNCIONAL
E AGRADÁVEL

**Mesas
ELEM
para TV**

Procure nas lojas
especializadas

Korzystajcie z usług

Companhia para Expansão da Construção

“COEXCO”

COEXCO inkorporuje nowoczesne i komfortowne domy
mieszkalne.

W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykoń-
czenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad “COEXCO”:

Niezawodny termin

Stała, niezmienna cena

Własne tereny

Staranne wykończenie

Sprzedaż na raty

Companhia para expansão da construção ‘COEXCO’
São Paulo, Rua São Bento, 279 — 12.º andar — Tel.: 30-4737

LAMINAÇÃO DE ALUMÍNIO, CHAPAS, DISCOS,
ETC., EM TÓDAS AS ESPESSURAS E DUREZAS
— MATERIAL DE ALTA QUALIDADE PARA
TODOS OS FINS.

Laminação de metais

ELMET S. A.

ESCRITÓRIO E VENDAS:

— Rua Quirino de Andrade, 219, Conjunto 74.

— Telefone: 33-4936.

S A O P A U L O

Mirvaine

Relógios

ANDRÉ DE BAC
Sigand

FERO
F. E. Roskopf

ROSKOPF LEGÍTIMO
Patent

MIRVAINÉ
IMPORTAÇÃO LTDA.

Rua Cons. Crispiniano, 379 -
7.º and., conj. 701
Tel.: 35-38-46

São Paulo

SPRZEDAJĘ i PRZYJMUJĘ

W K O M I S

książki
polskie

SEWERYN HARTMAN

Rua Barão de Itapetininga,

255 — s. 514

Caixa Postal 4530

Tel. 36-55-16

São Paulo

CONSTRUÇÕES
MECÂNICAS

Rozenowicz Limitada

TRANSPORTADORES
ALIMENTADORES
ELEVADORES
PENEIRAS
MOINHOS DE MARTELOS
ESTRUTURAS METÁLICAS

Rua da Balsa, 10 PIQUERI
Caixa Postal, 11.912

SÃO PAULO

CONTITEC

CIA. CONTINENTAL

TÉCNICA

Rury stalowe bez szwu,
ciągnione na zimno
4,0 do 50,0 m/m średnicy i
0,5 do 2,75 m/m grubości
ściany

Rury bez szwu miedziane,
mosiężne i aluminiowe.

Praça Sta. Helena, 26
Caixa Postal, 8451
Fone: 63:6054

End. Telefónico
"CONTITEC"

SÃO PAULO

Tipografia Alada Ltda.

Rua Vitória, 237
Te.: 35-2994

SÃO PAULO

- Druki handlowe
wszelkiego rodzaju
- Zaproszenia na śluby
- Karty wizytowe
- Stemple

WYKONANIE SOLIDNE
I TERMINOWE

Week-endy i wakacje

RANCHO BOA ESPERANÇA,
SÃO JOÃO NOVO

1.000 m n. p. morza, źródła
wody mineralnej, uroczyska spa-
cery, konie pod wierzch, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i
światłem elektrycznym, kuch-
nia polska. —

CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — ko-
leją 1 i 1/2 godz. Estr. Soroca-
bana lub drogą kołową via
Estr. Raposo Tavares do May-
laski, a stamtąd 7 klm do
São João Novo.

Informacje telefoniczne:

Tel.: 35-5584 lub

Caixa Postal, 6335, São Paulo.
Tel.: São João Novo N.º 9.

RESIL S.A.

Indústria e Comércio

RUA MARTIM BURCHARD, 254

FONES: 93-5050 — 92-2498

CARCASSAS DE MOLAS DE AÇO
PARA VEÍCULOS MOTORIZADOS

Classe...

Elegancia...

Distinção!



Orleans



Caldeiraria e Mecânica INOX LTDA.

ESPECIALIZADOS EM AÇO INOXIDÁVEL
— COBRE — ALUMÍNIO — FERRO —
RESERVATÓRIOS — AUTOCLAVES —
CALDEIRAS — TANQUES — TACHOS

EQUIPAMENTO PARA INDÚSTRIAS

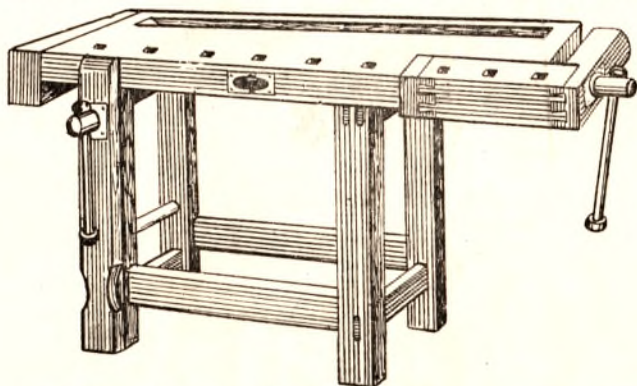
- ★ QUÍMICA — FARMACÊUTICA
- ★ GORDURAS — SABÕES
- ★ PERFUMARIAS — COSMÉTICOS
- ★ TEXTIL — TINTURARIAS
- ★ PAPEL — PAPELÃO
- ★ CONSERVAS — CHOCOLATES
- ★ CARNES — FRIGORÍFICOS
- ★ LATICÍNIOS — PASTEURIZADOS
- ★ BEBIDAS — DISTILARIAS
- ★ PLÁSTICOS — BORRACHA
- ★ TRATAMENTO DE ÁGUA

ESCRITÓRIO E FÁBRICA: Rua Oliveira Lima, 455 —
Cambuci — Fone: 35-4995 — SÃO PAULO

INDÚSTRIA DE MADEIRAS



RUA SOUZA LIMA, 200 — TEL.: 52-3942, - SÃO PAULO



abrykuje solidne warsztaty dla stolarzy, modelarzy i
amatorów jak również dla ślusarzy, jubilerów itp.
Posiadamy duży zapas warsztatów gotowych.

União Química Paulista Ltda.

S A O P A U L O

**Escritório: Rua Alvara de Carvalho, 118, conj. 503/4
Tel.: 36-4332**

**Fábrica e Depósito: Rua Domingos Paiva, N.º 332 —
Tel.: 92-1919**

Enderêço Telegr.: “ A N I L I C Q U A ”

DISTRIBUIDORES EXCLUSIVOS DE:

**Anilinas e auxiliares p/indústrias: textil, couro e
papel de**

E. I. DU PONT DE NEMOURS & CO., U.S.A.

**“LATYL”, “DEKATYL”, “PONSOL”, “SULFANTHRENE”,
“LEUCOSOL”, “PONTAMINE”, “PONTACHROME”,
“CHROMACYL”, “CAPRACYL” ETC.
ARIDEX, AVITONE, AVITEX, ALKANOL, DUPONOL,
ZELCON, ZESET, ZELEC, ZELAN ETC.**

DISTRIBUIDORES EXCLUSIVOS DE:

THE TANATEX CHEMICAL CORP. U.S.A.

**PRODUTOS ESPECIAIS P/ PROCESSOS DIFICEIS
DE BENEFICIAMENTO**

**Carriers p/ tingimento de fibras polyester etc.
TANALON ESPECIAL, TANAPAL ME, TANAPON X-70,
CAROLID, TANAVOL e outros**

REPRESENTANTES PARA O BRASIL DE

INDUSTRIE CHIMICHE BARZAGHI - UFA, Italia

**Produtos p/ acabamento Textil e Indústria Petro-
lífera na base de resina e celulose
SOLIDINA, GELOGUM, etc.**

CHEMISCHE FABRIK RUDOLF & CO., Alemanha

**Especialidades p/ beneficiamento de fibras em geral
R U C O N E T Z E R etc.**

Tricot-lã

sweater
original

